Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 38 (1826) • 19–25 września 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Biskupi znów szczekają

str. 11

WRZOSOWISKO

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 066e1a5323

WOJNA DOMOWA

Po chwilowym pokazie jedności w związku z „atakiem dronowym” z zeszłego tygodnia stosunki między prezydentem i premierem wróciły do normy. Premier napisał na X, że nad Belwederem latał dron, ale SOP go „zneutralizowała”, na co prezydent odparował bystrze, że „dowiedział się z mediów społecznościowych, że nad budynkiem, w którym przebywa jego rodzina, latał dron” i że komunikacja między dwoma pałacami „nie jest zdrowa”. Cała wymiana ciosów była o tyle zabawna, że dron puszczała sobie parka młodych ludzi na spacerze w Łazienkach: 21-letni Ukrainiec i 17-letnia Białorusinka. Ukrainca na wszelki wypadek wykopiemy z Europy.

Zanim przyschła sprawa „drona nad Belwederem”, powróciła sprawa drona, który zerwał dach w Wyrykach. „Rzeczpospolita” napisała bowiem, że to nie ruski dron, tylko polująca na ruski dron polska rakieta, wystrzelona przez polskiego pilota z polskiego myśliwca. Rakieta nie trafiła w drona, tylko w dach budynku mieszkalnego, ale nie wybuchła, co jest kolejnym dowodem na to, że indolencja wojskowych ratuje życie cywilom. Nawet twardo maszerujące w bojowym szyku prorządowe media ośmieliły się wyrazić niejakie wątpliwości. Nie co do celowości strzelania do styropianowych dronów rakietą wartą pół bańki papieru nad dachami budynków mieszkalnych, ani, Boże broń, co do niecelności tych strzałów – ale co do niejakich niedociągnięć komunikacyjnych władzy. W Tefałenie red. Piasecki zapytał senatora Schetynę, czy „jest gotów bronić błędów komunikacyjnych w tej historii”, dodając eufemistycznie, że „komunikacyjnie ta historia nie wygląda dobrze”. „Jeżeli broni się całej postawy i tego, co się zdarzyło, to się broni w całości, ja tak na to patrzę, państwowo” – odparował dziarsko Schetyna. Jeszcze by tego brakowało, żeby każdy sobie decydował, co mu się w rządzie podoba, a co nie. Toż to by była anarchia i gomoria.

Radosław Sikorski otworzył serce przed „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Wyznał, że „jego osobisty pogląd” jest taki, że „powinniśmy przemyśleć” zestrzeliwanie rosyjskich dronów nad Ukrainą. Szef polskiej dyplomacji osobiście uważa, że „jeżeli Ukraina poprosi nas o zestrzeliwanie dronów nad jej terytorium, to będzie to dla nas korzystne”. Z jednej strony, w tym, co mówi Sikorski, coś jest. „Ochrona naszej ludności – na przykład przed spadającymi odłamkami – byłaby oczywiście większa, gdybyśmy mogli zwalczać drony i inne obiekty latające poza naszym terytorium” – ogłosił, a po historii z Wyryków można by dodać, że chodzi nie tylko o „spadające odłamki”. Z drugiej wszakże, „ochrona naszej ludności” podczas wojny z Rosją – do której prowadziłoby bezpośrednie włączenie się Polski w działania zbrojne na terenie Ukrainy – mogłaby stanowić niejaki problem.

Jak powszechnie wiadomo, generałowie zawsze szykują się do poprzedniej wojny. I to jeden z powodów, dla których konieczna jest cywilna kontrola nad armią. Ale czasem ona niewiele zmienia. Z okazji 17 września prezydent Nawrocki wygłosił wystąpienie, którego nawet nie musiał się uczyć, albowiem powtarzał to setki razy, jak był szefem IPN, tylko wtedy mało kto go słuchał. „Tyle lat minęło od zbrodni katyńskiej, a świat jeszcze niedawno powtarzał i powtarza te same błędy, ulegając ideologii komunistycznej, ulegając sowieckiej dezinformacji” – ogłosił prezydent. „Dzisiejsze wydarzenie stawia przed nami także konkretne zadanie, i przede mną jako przed prezydentem Rzeczypospolitej: nie możemy dać się oszukiwać sowieckiej ideologii i dezinformacji” – dodał. Swoje błyskotliwe wystąpienie głowa państwa zakończyła nieśmiertelnym wezwaniem: „Precz z komuną”. Może ktoś by powiedział panu prezydentowi, że Związek Radziecki nie istnieje od 1991 r.?

Jarosław Kaczyński najwyraźniej poczuł się odsunięty na margines i postanowił coś z tym zrobić. To w końcu nie może być tak, że Tusk walczy z Ruskimi, i Nawrocki walczy, i Kosiniak-Kamysz, i nawet Błaszczak, a on, prezes, nie. Wobec czego wezwał wszystkich dziennikarzy na Nowogrodzką, żeby przedstawić im najnowszą inicjatywę obronną Prawa i Sprawiedliwości: projekt uchwały, która jest „ważna dla naszego bezpieczeństwa, bo z całą pewnością istnieje tutaj bardzo poważne zagrożenie, które się zazwyczaj określa jako kontrwywiadowcze”. Tu Kaczyński się nieco zacukał i doprecyzował: „To znaczy nie w tym sensie, żeby tam prowadzono działalność kontrwywiadowczą, chociaż to też jest możliwe, tylko dlatego, że kontrwywiad powinien odpowiadać na tego rodzaju zagrożenia”. Uchwała stanowi, że sejm wzywa rząd do „przejęcia nieruchomości Ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie z poszanowaniem Konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych”. Konwencja wiedeńska o stosunkach dyplomatycznych: „Pomieszczenia misji są nietykalne”. I jeszcze: „Pomieszczenia misji, ich urządzenia i inne przedmioty, które się w nich znajdują, oraz środki transportu misji nie podlegają rewizji, rekwizycji, zajęciu lub egzekucji”. No ale Ruskich to chyba nie dotyczy, nie? To tylko obowiązuje, jeśli chodzi o dobre misje, prawda?

Do akcji budowania w Polakach poczucia bezpieczeństwa i wiary we własne państwo dziarsko włączają się prorządowe media. Próbka z TVN24: „Gdzie jest schron niedaleko mojego domu? Pewnie wielu z nas przez wiele lat nad tym się nie zastanawiało, ale teraz warto wiedzieć. Nie z obawą, ale z poczuciem, że to po prostu na wszelki wypadek wiedza potrzebna”… Przypomina nam się skecz z PRL na temat instrukcji na wypadek ataku atomowego: „Przykryć się białym prześcieradłem i czołgać się powoli w kierunku Powązek”.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Wrzesień 2013 r.

Świętego Krzyża/Jom Kipur

Obserwując zjazd związkowców w Warszawie, mam wrażenie, że oglądam strzępy filmu, który już widziałem. Nierealne, kłopotliwe dla budżetu żądania Solidarności – rok 1980. Związek kroczy ulicami i grozi strajkiem generalnym – rok 1981. OPZZ przyłącza się do Solidarności i stara się ją przelicytować – Okrągły Stół w roku 1989. Niemożność wywołania przez Solidarność strajku generalnego: w roku 1981 polityczna, w roku 2013 z braku siły. Działacze PZPR przechodzą na stronę związku w roku 1981 i w roku 1989. Teraz Leszek Miller. Jest scena, której mi brak. W 2013 r. rząd wysyła wicepremiera do Gdańska, choć stocznia nie strajkuje, bo już jej faktycznie nie ma. Ale dekoracje zostały. W tych samych więc dekoracjach podpisuje porozumienie wrześniowe. Wcześniej negocjuje kompromis. Nie 12-miesięczny okres rozliczania elastycznego czasu pracy, ale np. wstępne rozliczenie sześciomiesięczne. Składki na ZUS od wszystkich umów śmieciowych, ale od tych o dzieło niższe. Spór o płacę minimum nie 45 proc., ale 50 proc. średniej. Można się umówić, że przez pięć lat co roku minimum rośnie o punkt procentowy. Rząd Tuska zobowiązuje się odejść po wyborach niezależnie od ich wyniku, powołując się na żądania związkowe, nie zaś wyłącznie na konstytucję. Wiek emerytalny się obniży, jak tylko Polacy płci obojga zaczną żyć krócej, o co się przecież już usilnie stara minister Arłukowicz. Proponuję także, żeby komisję trójstronną przemienić w czterostronną. Stworzyć i zaprosić organizację bezrobotnych. Tych jest więcej niż związkowców.

Świętego Aime

Papież Franciszek ogłosił w gazecie „La Repubblica”, że zdaniem Kościoła grzechem ateistów jest postępowanie wbrew własnemu sumieniu. Jak z tego wynika, Kościół potępia bezbożników za wysyłanie dzieci na lekcje religii po to, żeby się nie wyróżniały od reszty i nie miały przykrości. Nie należy też tych dzieci wysyłać do pierwszej komunii, lecz trzeba dawać rower i laptop jako nagrodę pocieszenia. Świństwem jest żenienie się w kościele czy chrzczenie dzieci, żeby babci nie sprawić przykrości, a także zapraszanie księdza na pogrzeby niewierzących, aby pochówek ładnie wyglądał dla żałobników.

Ciekawe, kiedy z polskich ambon potępi się lizusowskie grzechy ateistów i ośmieszy katolików udawanych zgodnie z nauczaniem pana papieża rzymskiego.

Świętego Rolanda

Janusz Palikot przeprosił Wandę Nowicką, którą dwa lata temu nieowocnie próbował zepchnąć z tronu wicemarszałkini sejmu. Proponowałem mu dwa lata temu, żeby to zrobił, i mam na to tyluż świadków.

Świętej Edyty

W zeszłotygodniowej weekendowej „Rzeczpospolitej” dwie osoby skarżą się na prześladowania polityczne. Aktorka Joanna Szczepkowska i polityk Adam Hofman. Żale każdej z tych dwóch osób zajmują po dwie strony gazety. Leją więc łzy obficie.

Joanna Szczepkowska znana jest z tego, że za młodu ogłosiła upadek komuny 4 czerwca 1989 r. Satysfakcja w jej głosie uraziła komuchów. Naraziła się również prawicy typu PiS, bo ona uważa, że rząd Mazowieckiego był zmyłką i komuna trwa do teraz.

Adam Hofman również znany jest z telewizji, która pokazała, że mówi swoim pracownicom, iż może im pokazać penisa, który nie mieści się w szafie. Hofman żali się więc, że podglądacze z mediów odbierają mu jego prywatność, zmuszając do udawania dżentelmena nawet wieczorem, kiedy kończy już służbę dla Kaczyńskiego.

Oboje oni podali do sądu swoich prześladowców. Hofman pragnie, żeby sąd ustalił, czy obiecywanie pracownikom pokazu jego wielkiego prącia jest, czy nie jest molestowaniem seksualnym, co twierdzą wrogie mu politycznie feministki. Szczepkowska zaś skarży TVN, że jej wypowiedzi o wpływach gejów w teatrze stacja komentowała jako homofobiczne. Przy okazji dowiadujemy się, że pani Szczepkowska pisuje sztuki teatralne niedoceniane z przyczyn politycznych. Aktorka powiada, że jeśli czyjaś ocena, że ona jest wybitna, ma znamiona trafności, to cytuję: „…ataki na mnie są po prostu szkodliwe dla polskiej kultury”.

Jedno przyjemne płynie z tej Szczepkowskiej: że pomawianie o niechęć do gejów traktuje się już jak zniewagę.

Świętej Edyty

„Polityka” informuje, że człowiek się upija od popijania wódki wodą z gazem. Moje życie byłoby inne, gdybym dowiedział się o tym 70 lat wcześniej.

Doniesienia recenzentów z festiwali w Gdyni są takie, że narobiono dużo wybitnych polskich filmów. Niestety ci recenzenci je streszczają, co odstręcza od pójścia do kina.

Świętego Renauda

Dostałem mail z pytaniem, czy mój dziadek był Mieczysławem Urbanem, prezesem Narodowej Demokracji w Krotoszynie. Mój dziadek nie nazywał się Urban, tylko wprost przeciwnie. Z narodem i demokracją miał tylko tyle wspólnego, że poddawał farbowaniu i apreturze bele materiału z marnej bielskiej wełny. Potem endecy szyli sobie z tych żydowskich szmat garnitury i paradowali w nich do kościoła.

Świętej Nadieżdy

„Gazeta Polska Codziennie” na str. 3 podała sensacyjną informację pt. „Sakiewicz jedzie do USA”. „Gazeta” informuje, że celem podróży jej szefa jest dziękowanie Polakom w Stanach za ich patriotyczną postawę. Program pobytu dostojnika podany został dzień po dniu, godzina po godzinie, miasto po mieście, adres po adresie. Ameryka dostąpi Sakiewicza „już we wrześniu”.

No proszę, a tu skromność hamuje naczelnego tygodnika „NIE” przed ogłoszeniem, że jedzie do Moskwy, aby odwiedzić burdel przy ul. Twerskiej 89 i zaprezentowaniem bogatego program pierdolenia Chińczyków, Murzynek i Kirgizek.

Świętej Emilii

W recepcji prywatnej lecznicy omawiał badania i zabiegi siwawy przystojniak lat circa 45. Zapłacił kartą 1040 zł. Na pytanie, czy wystarczy mu paragon, poprosił o wypisanie mu rachunku. Powiedział: „Inaczej mamusia nie zwróci mi pieniędzy”. Jesteśmy teraz dziećmi aż do chwili, gdy zostaniemy sierotami. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Karol Nawrocki** wraz z żoną uczestniczył w Dożynkach Prezydenckich. Eh, to już nie te dożynki, w których uczestniczył Narutowicz w Zachęcie.
- **Papież** zawierzył Polaków Maryi Królowej Pokoju. Z dronami lepiej by sobie poradziły gołąbki pokoju.
- **Portal fronda.pl** z okazji Dnia Rybołówstwa poleca szprotki panierowane kaszą. Zapanierować szprota to najlepiej umieją księża w seminariach.
- **Nowy metropolita katowicki** powiedział, że lekcje religii i etyki powinny być obowiązkowe. Nic bardziej nie zwiększy liczby apostazji.
- **Rafał Trzaskowski** zapuścił wąsy. Komuś się wydaje, że jest Wałęsą.
- **Marta Nawrocka** powiedziała, że ofiary to ofiary, a oprawcy to oprawcy. Paulo Coelho to Paulo Coelho.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Do franczyzobiorcy Lee Wrangler w Zielonych Tarasach w Bydgoszczy via tygodnik „NIE”

Szanowni Debile z Lee Wrangler!

Kilka dni temu kupiłem u Was kurtkę za 500 zł. Kurtka nie przeszła testu domowego (czyt. żony), więc następnego dnia poszedłem ją oddać. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zamiast zwrotu pieniędzy dostałem kartę PO-DA-RUN-KO-WĄ, o czym przy zakupie panienka sprzedająca nie uznała za stosowne mnie poinformować. Już wyjaśniam debilom z Lee Wrangler: jak będę teraz chciał jednak coś kupić u Was, to Wy w swojej niezmierzenie wielkiej łaskawości zrobicie mi z tego nowego towaru PODARUNEK – za moje wpłacone wcześniej pieniądze. Autor tego pomysłu zamiast szarych komórek ma w głowie wyłącznie śmieci i nie rozumie polskiego słowa PODARUNEK.

Kolejny debilizm to rewers tej karty. Ogranicza on możliwość PODARUNKU do czterech sklepów w (nie tak) pobliskich miejscowościach. Otóż ten debilizm polega na tym, że mogę poprosić krewnego lub znajomego w każdej miejscowości w Polsce, żeby przymierzył, ale nie kupił, w jednym z Waszych sklepów jakąś część odzieży, przesłał mi jej (odzieży) dane, może nawet ze zdjęciem, a ja odbiorę taki PODARUNEK z Waszego sklepu.

Jakiś Wasz kretyn musiał się strasznie napracować za duże pieniądze, żeby coś takiego wydalić z siebie – bo przecież nie wymyślić z tym śmieciami w głowie.

Oczywiście wszystko dla wygody i dobra klientów!

Bez szacunku

eprasa.pl 066e1a5323

Mój głos przeciw wojnie

Jak nie zostać bohaterem i zachować wolność



Rys. MARCIN CHUDZIK

Polacy zaczęli śnić o czołgach w garażu i schronach przeciwatomowych w ogródku. Jeszcze niedawno marzeniem były sauna i grill na tarasie. Statystyki tylko potwierdzają ten senny koszmar: liczba wydanych zezwoleń na broń rośnie rok do roku o 12–13 proc. Armia puchnie. W 2023 r. mieliśmy 134 tys. żołnierzy zawodowych, w 2024 już 144 tys., a obecnie pod bronią znajduje się około 205 tys. szabel.

Równolegle eksplodował rynek cywilny. Polacy rzucili się na produkty obronne, sprzęt survivalowy i akcesoria do samoobrony. Sklepy outdoorowe odnotowały wzrosty sprzedaży 600–800 proc. Takie liczby mogłyby zawstydzić nawet twórców piramid finansowych. Najchętniej kupujemy śpiwory, latarki, noże, kamuflaże, mundury, gazy łzawiące i multitoole. Krótko mówiąc: naród, który jeszcze przed chwilą chodził w sandałach ze skarpetką, teraz szykuje się do wojny totalnej uzbrojony w scyzoryk i gaz pieprzowy.

Kursy survivalowe i bushcraftowe wyprzedają się szybciej niż wejściówki na koncert Dawida Podsiadły. Kobiety i mężczyźni zamiast jogi i crossfitu ćwiczą rzucanie granatem. Dzieci zamiast jechać na zieloną szkołę, dostają „zestaw ewakuacyjny” – bo przecież wróg może nadejść szybciej niż sprawdzian z matematyki. Niebawem zapewne Lidl i Biedronka utworzą specjalne działy: „Na wypadek III wojny”, gdzie obok Świeżaków w moro i maskach pegaz znajdziemy karimaty, konserwy i miniaturowe zestawy do odkażania wody. A wszystko to pod hasłem: „Koniec świata? Nie z naszymi cenami!”.

Polska gotowa na wojnę (z Rosją i rozumem)

Od kilku miesięcy polska debata publiczna brzmi jak zapowiedź wojennego filmu. Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz ostrzegał w TVN24, że „wojna nigdy nie była tak blisko naszych granic”. Tusk wylicza nawet daty – Rosja może być gotowa do konfrontacji z Europą już w 2027 r. – a w sejmie mówi o „ryzyku konfliktu” po naruszeniach polskiego nieba przez chyba rosyjskie drony. Generał Wiesław Kukuła, szef Sztabu Generalnego, dorzuca do tego nutę fatalizmu i zapewne zawodowej nadziei: „Jesteśmy pokoleniem, które stanie z bronią w ręku w obronie naszego państwa”. W innym wystąpieniu przestrzegł, że około 2030 r. scenariusz wojny staje się realny. Innymi słowy: od Tuska po Kukułę wszyscy zgodnym chórem twierdzą, że wojna to nie hipotetyczne „kiedyś”, tylko całkiem prawdopodobne „zaraz”.

Między atomową mrzonką a historyczną megalomanią

Przestrzeń umysłowa sporej części społeczeństwa i establishmentu zajęta jest dziś pytaniami i deklaracjami, które brzmią jak wyjęte z podręcznika „Jak kochać wojnę i nie zwariować”.

Z jednej strony mamy poważne dyskusje ekspertów: „Co należy zrobić, aby Rosja zaczęła w końcu odczuwać koszty swojej agresywnej polityki?” – czyli poszukiwanie strategii karania mocarstwa atomowego przez państwo średniej wielkości. Do tego dochodzą propozycje: „Należy poważnie rozważyć obecność broni jądrowej w Polsce, jeśli byłby to element poważnego odstraszania” – czyli oczywiście skrajny idiotyzm. Każdy silos atomowy to wszak cel i pretekst dla nuklearnej głowicy.

Z drugiej strony są anonimowi komentatorzy, którzy deklarują zdumienie: „jestem trochę zaskoczony, że wiara w militarną zdolność Polski do powstrzymania Rosji nie jest większa, jesteśmy przecież w NATO…” – jakby artykuł piąty traktatu był amuletem, który wystarczy powiesić nad drzwiami. A jeszcze gdzieś obok w narodowej wyobraźni odżywają duchy przeszłości: „Stanisław Żółkiewski z garstką ludzi rozgromił kilkakrotnie większe siły i zdobył Moskwę”; przypomnienie, że „Polacy w Moskwie byli dwa razy” oraz wezwania: „Onuca – zabić mało! Spalić do cna. Zakuć w kajdany i sprzedać w Afryce”.

Błysk i nędza wojny

Tak oto miesza się oficjalna debata o odstraszaniu nuklearnym z anonimowym internetowym chojractwem. I trudno odróżnić, co jest poważnym planem strategicznym, a co internetowym memem, bo język obu stron bywa równie egzaltowany.

Służy to tylko jednemu: przyzwyczajaniu społeczeństwa do wojny. Cała ta narracja, od telewizyjnych ekspertów po internetowych wojowników klawiatury, ma jeden cel: żeby ludzie zaakceptowali wojnę jako coś normalnego, element codzienności, nie wiedząc tak naprawdę, na co się godzą.

Bo przecież widzą tylko piękne koreańskie armatohaubice, błyszczące w słońcu podczas sierpniowej parady z okazji święta Wojska Polskiego. Kamera łapie naoliwione działa, generał salutuje, orkiestra gra – i w tym obrazku wojna jawi się jako widowisko na placu, coś między defiladą a koncertem plenerowym.

Tyle że wojna to nie defilada i nie gra komputerowa. W realu nie ma przycisku „restart misji”, a odgłos salwy nie kończy się oklaskami. Wojna to amputacje, traumy, zgliszcza i długie kolejki do szpitali polowych. Kiedy więc pokazuje się społeczeństwu błyskotki i wypolerowane lufy, to w istocie chodzi o odrętwienie wyobraźni: żeby patrząc na defiladę, człowiek zapomniał, że prawdziwe pole bitwy pachnie nie nową farbą z lakierni, lecz śmierdzi ludzkim ścierwem i dymem.

Cywile na froncie codzienności

Przejście państwa w stan wojny to nie tylko czołgi na ulicach. Także dramatyczna przemiana życia ludzi, którzy nigdy nie mieli zamiaru chwycić za broń. To śmierć demokracji. W logice wojny nie ma miejsca na wolne wybory, pluralizm czy krytykę władzy. Jest tylko jeden głos: głos armii. Wraz z tym przychodzi wszechwładza generałów i komisarzy, a decyzje podejmowane są nie w parlamencie, lecz w sztabie.

Znikają podstawowe prawa obywatelskie: prawo do życia prywatnego, do wolności słowa, do swobodnego przemieszczania się. Granice zostają zamknięte, paszporty stają się bezużytecznymi broszurkami, a każdy, kto chciałby „uciec”, zostaje uznany za dezertera albo zdrajcę. Przemysł, nawet cywilny, zostaje zmilitaryzowany. Fabryka pralek nagle produkuje hełmy, a zakład meblarski skrzynie na amunicję lub trumny.

Konfiskata majątków staje się normą: „tymczasowe przejęcie na cele wojenne” oznacza, że twój dom może zamienić się w koszary, a twoja ciężarówka – w wojskowy transportowiec. Kodeks cywilny, który reguluje codzienne spory między ludźmi, przestaje działać, bo w warunkach wojennych to nie sędzia rozstrzyga, kto ma rację, tylko dowódca decyduje, kto ma rozkaz. Cywilne kontrakty, prawo pracy, ochrona konsumenta – wszystko to trafia do kosza, bo liczy się tylko „interes wojenny”.

Pociąg tej narracji wojennej jest rozpędzany. Może nie tak szybko, jak wieszczyliśmy dwa lata temu, ale jednak konsekwentnie.

Spokój święty, a nie święta wojna

A trzeba jasno powiedzieć: Polacy wojny nie chcą. W raporcie Uniwersytetu Warszawskiego aż 70 proc. respondentów stwierdziło, że wojna w Ukrainie wpływa negatywnie na ich poczucie przyszłości i wywołuje niepokój. W badaniu CBOS z marca 2025 r. 58 proc. uznało, że priorytetem powinno być zakończenie konfliktu nawet kosztem ustępstw terytorialnych ze strony Ukrainy. Z kolei 65 proc. badanych nie popiera udziału polskiego wojska w stabilizacji przy granicy ukraińsko-rosyjskiej. Krótko mówiąc: lud nie chce wojny, nie marzy o frontach ani o defiladach zwycięstwa, tylko o świętym spokoju.

Obawiamy się, że elity polityczne, jak zwykle, zawiodą. Wizja polityków ratujących się ucieczką za ocean z rezerwami NBP, by tam z bezpiecznej odległości rządzić „podziemnym państwem”, jest dla nas nie do zaakceptowania. Bo my wtedy będziemy palić świeczki w zimnych mieszkaniach, malować znaki Polski Walczącej na murach i organizować zamachy na ruskich notabli. To już przecież było. A jeśli ktoś próbuje nam zafundować powtórkę z historii, to mamy dla niego prostą odpowiedź: wypierdalać!

Kiła, krówki i Nobel dla Putina?

Skoro już wiemy, że wojna to nie defilada ani gra komputerowa, czas zastanowić się, jak jej realnie zapobiec i przywrócić pokój w Europie. Bo poprawność i sztampowe myślenie europejskich przywódców nie nakarmią ani nie przestraszą Putina.

Yhm… jeżeli trzeba, zarazimy go kiłą – oczywiście w najlepszym gatunku, w ciuchach od Versace, żeby miał pewność, że Zachód naprawdę stawia na jakość. Jeżeli można go przekupić krówkami z Milanówka – niech pociągi towarowe pędzą dzień i noc, aż Kreml utonie w karmelowej mazi polskiego cukru.

Czerwony dywan rozwinięty przez Trumpa na nic się zdał, ale może Literacka Nagroda Nobla (Pokojowa?! Przesadziłem?) zrobi wrażenie? Powinien się cieszyć z tego złotego krążka z napisem „Nobel Prize in Literature”, skoro tak lubi kolekcjonować symbole.

Ale nie ma co udawać. Sprawie mógłby też pomóc atak na drugą stronę. Bo gdyby nagle okazało się, że Zełenski zamiast kuloodpornej kamizelki nosi piżamę w misie, to chęć pomocy finansowej i rzeczowej u największych jastrzębi nieco by przybladła. „Jak można pomagać komuś, kto śpi w misiach?” – myśleliby senatorowie i bankierzy. Niewątpliwie brak ukraińskiej elastyczności nie wynika wyłącznie z dumy czy chwały narodu, ale także z przeświadczenia, że za plecami stoi wielki brat z Zachodu i poklepuje po ramieniu. I właśnie ten układ warto by trochę zachwiać – bo tak wszyscy stoimy w miejscu z bronią coraz bardziej gotową do strzału.

Agent z wykałaczką rozwali Kreml

No ale zejdźmy na ziemię i zbliżmy się do powagi oraz możliwości takiego niezbyt dużego kraju jak Polska. Nie wielkie plany nowego ładu świata, tylko realne sposoby uderzenia w jednego człowieka – z poszanowaniem jednak wielkiego narodu rosyjskiego, który sam w sobie nie jest wrogiem.

Władimir siedzi w bunkrze i ma te same słabości co każdy z nas: choruje, miewa lęki, boi się kompromitacji. I właśnie w te słabości można uderzyć. Bo jeden szpieg, jedna dobrze przeprowadzona akcja potrafi czasem więcej niż dziesięć amerykańskich lotniskowców na Morzu Czarnym.

Putin, mimo całego pancerza propagandy, jest człowiekiem z krwi i kości, a człowiekowi wystarczy czasem, że zaboli ząb, żeby świat runął. Zainfekowany implant dentystyczny czy przewlekły ból pleców zrobią z geniusza strategii faceta, który klnie w poduszkę i odwołuje ofensywę, bo nie może usiąść prosto na krześle.

A co, jeśli nagle zawiedzie bunkrowa winda albo konwój stanie w szczerym polu, bo kompter „zgubił trasę”? Car, który całe życie bał się utraty kontroli, dostaje ataku paniki. Jeśli zawiodła winda, to może zawiedzie ochrona?! A jeśli ochrona, to może i generałowie. To działa szybciej niż sankcje.

Jeszcze skuteczniejsze jest ośmieszenie. Nie memy w necie, ale taki sabotaż, że własna świta zaczyna chichotać. Wpadka na transmisji, kompromitujący dokument podsunięty pod nos – i nagle bojarzy patrzą na wodza jak na dziadka, któremu trzeba podtrzymywać spodnie. Aura znika.

Do tego wystarczy lekko rozbić rutynę: zmienić godziny spotkań, popsuć harmonogram, wprowadzić chaos do idealnie poukładanych procedur. Paranoik pozbawiony rutyny to paranoik niezdolny do decyzji. A jeśli jeszcze dorzucić fałszywy raport o spisku w armii, zaczyna się festiwal irracjonalnych rozkazów.

Wreszcie najprostsze i wypróbowane: wzbudzić podejrzenie wobec własnego talerza. Jeden szept, że kucharz mógł być podkupiony, i cała misternie budowana pewność siebie rozpada się jak domek z kart. Bo człowiek żyjący w strachu, że każdy kęs może być ostatnim, nie planuje globalnej ofensywy.

Tak więc nie potrzeba ani broni atomowej, ani wielkich sojuszy. Czasem wystarczy zepsuty ząb, kapryśna winda, podejrzany talerz barszczu i parę dobrze podsuniętych podszeptów. I nagle cała wielka wojna robi się dla cara zbyt ciężka do uniesienia. A w Europie może być znowu tak, jak lubimy najbardziej: nudno, przewidywalnie i – co najważniejsze – spokojnie.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 066e1a5323

Kalekie państwo

Co fundujemy osobom z niepełnosprawnościami


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W warstwie czynów panuje równość, o jakiej się nawet komunistom nie śniło. Wszyscy, ale to, kurwa, wszyscy, mają niepełnosprawnych w dupie. Korwinowcy są przy tym brutalnie szczerzy, a inni – mniej lub bardziej zakłamani.

Instytucje publiczne grają z osobami z niepełnosprawnościami w chuja – wynika z najnowszego raportu NIK, opartego na kontroli przeprowadzonej w gospodarnej Wielkopolsce. Izba zajęła się orzekaniem o niepełnosprawności i ustalaniem potrzeby poziomu wsparcia, co wiąże się z uzyskaniem konkretnych świadczeń.

Roszczeniowcy

NIK nie pozostawia złudzeń, pisząc na swojej stronie internetowej: „Niestety, system ten boryka się z wieloma problemami. Brakuje lekarzy specjalistów, decyzje są podejmowane bez wyjaśnień i oceny rokowań pacjenta. Cała procedura jest często zbyt skomplikowana, a na decyzje ustalające poziom wsparcia trzeba długo czekać. Dodatkowo, osoby z niepełnosprawnościami napotykają bariery w kontakcie z urzędami. Konieczne jest podjęcie pilnych działań naprawczych, aby system stał się bardziej efektywny i przyjazny dla obywateli”.

Uśmiechnięta koalicja, która w przeciągu godzin potrafiła przejąć TVP, wykazała się bezradnością – a może raczej: bezdusznością – wobec najsłabszego segmentu polskiego społeczeństwa. Widać, co było jej priorytetem, co zaś – pomimo udziału lewicy we władzy, kierowania resortem pracy i pomocy społecznej przez Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk – znajduje się na szarym końcu. Nie dziwota – obłożnie chorzy, niewidomi, mający kartotekę medyczną dłuższą niż rolka papieru toaletowego nie wyjdą na ulice, nie zablokują dróg, nie będą się napierdalać z policją. Powyższa metafora nie jest bynajmniej przypadkowa, bo osoby z niepełnosprawnościami od lat konsekwentnie traktowane są jak wrzód na dupie zdrowej tkanki narodu.

Rządzący wszystkich opcji po upadku komuny dochodzą do wniosku, że ta właśnie grupa jest strasznie roszczeniowa – chce a to aparatów słuchowych, a to wózków inwalidzkich, a to rehabilitacji. A przecież powinni być wdzięczni, że mogą zbierać na leczenie w różnych fundacjach, liczyć na miłosierdzie rodzin, znajomych, czasem gminy czy grup kościelnych.

Po prawicy nigdy niczego dobrego się nie spodziewam – więc łyk historii z dziejów tzw. lewicy, jej złotych czasów, gdy wygrywała wybory i rządziła. Do dziś pamiętam sytuację sprzed ćwierć wieku, kiedy rząd Leszka Millera robił po cichu czystkę wśród rencistów. Pamiętam działacza Polskiego Związku Głuchych, który opowiadał, że przychodzą do niego zapłakani ludzie – od uczniów po emerytów – dramatycznie walczący o resztki słuchu, których ZUS na polecenie polityków cudownie „uleczył” i stracili oni rencinę, a na pracę nie mieli najmniejszych szans. Wielu starszych wspominało z rozrzewnieniem spółdzielnie inwalidów z czasów PRL, gdzie bez większego trudu można było znaleźć robotę, która w ich przypadku jest jednocześnie tożsama z rehabilitacją i integracją społeczną.

Kulawy system wsparcia

Kiedy PiS-owcy starali się o trzecią z rzędu kadencję u władzy, uchwalili ustawę, która dorosłym osobom z orzeczeniem o niepełnosprawności umożliwiała staranie się o świadczenie wspierające, które może wynosić obecnie nawet ponad 4,1 tys. zł. Jak to u Prezesa, rozwiązanie wprowadzono zbyt szybko, bez sensownych konsultacji społecznych, a system nie był na to w ogóle przygotowany. Przez długi czas wiele powiatowych i wojewódzkich zespołów ds. orzekania o niepełnosprawności nie zamieściło na swoich stronach formularzy edytowalnych, które można by wypełnić w komputerze. Panował burdel, a zainteresowani wypełnieniem wniosków poruszali się – jak i sami urzędnicy – niczym pijane dzieci we mgle.

W kraj ruszyli urzędnicy uzbrojeni w formularze, w których wypełniali kolejne rubryki, przyznając punkty w różnych kategoriach. Kategorii jest w sumie 32, dotyczą np. zmiany pozycji ciała i poruszania się w znanym i nieznanym środowisku. Formularz stworzono w ten sposób, że głusi i niewidomi nieomal pozbawieni zostali szans na uzyskanie koniecznej dla otrzymania wsparcia liczby punktów; obecnie min. 70 na 100, rok temu było to aż 87 pkt.

Masa ludzi składała wnioski osobiście, licząc na dodatkowy grosz. System szybko się zapchał. Kochana władzuchna nie zapewniła dostatecznych zasobów, aby w rozsądnym czasie rozpatrzyć wszystkie wnioski. Zatory sięgają kilkunastu miesięcy. Tusk dba wszak o budżet kraju i oszczędza, gdzie się da – nie dziwota zatem, iż dziennikarzom skarżyli się rozżaleni ludzie, że są tak chorzy (np. na nowotwory), że prędzej umrą, niż dostaną kilka groszy.

Podłe kaleki zaczęły informować, jak rozpatrywano ich sprawę. Świadczenia nie otrzymały nieraz osoby, które miały razem orzeczenie o niepełnosprawności (stopień znaczny), orzeczenie o niezdolności do samodzielnej egzystencji i orzeczenie o niezdolności do pracy. Na stronie Inforu była jakiś czas temu opowieść o mężczyźnie, który otrzymał zaledwie 40 pkt. Zacytujmy jego świadectwo w oryginale: „Choroba niedokrwienna serca, choroba trzech naczyń, 12 stentów w klatce. Torbiel Tarlova, kręgosłup w trzech miejscach złamania kompensacyjne i ucisk na rdzeń. Hiperglikemia i cukrzyca typu 2. Niedowład kończyn dolnych. MDS, czyli rak szpiku. W moim wieku brak możliwości wyleczenia. Brak możliwości operacji kręgosłupa z powodu MDS i chorób serca. Mieszkam sam. Od 7 lat na opioidach. Co dzień w metalowym gorsecie. Ratuje mnie pomoc przyjaciół. 1500 emerytury i razem 850 zł dodatków. Nic poza. 12 000 długów za rehabilitację i inne”.

Podobnych historii jest znacznie więcej. A podkreślmy, że mogą one być wyłącznie opowiedziane przez osoby, które są zdolne pisać lub mają kogoś, kto w ich imieniu napisze do mediów czy umieści post w mediach społecznościowych. Ile osób nie jest tego w stanie uczynić, pozostanie na zawsze ponurą tajemnicą.

Święta zamiast asystencji

W podejściu do spraw osób z niepełnosprawnościami warto odróżnić dwie warstwy: słów i czynów.

W warstwie werbalnej na jednym krańcu skali jest niezastąpiony Janusz Korwin-Mikke, który po wielokroć poniżał niepełnosprawnych, radząc im, by nie wychodzili z domu i nie epatowali zdrowych swymi przypadłościami. Ot, taki dopust boży – masz pecha i to wyłącznie twoja sprawa. Na drugim biegunie są ci wszyscy święcie oburzający się na mówienie o „osobach niepełnosprawnych” (tylko „osoby z niepełnosprawnościami”), cieszący się z osiągnięć na paraolimpiadach, mający gęby pełne frazesów o integracji społecznej, równym udziale w życiu kulturalnym i na rynku pracy.

Oczywiście jesienią ma trafić do sejmu ustawa o asystencji osoby niepełnosprawnej, o którą środowisko dobija się od lat. Jaki przybierze kształt? Pewnie taki, by i można było się pochwalić, jak się władza troszczy o najsłabszych, i aby na takie wsparcie mógł liczyć ułamek potrzebujących. Generalnie mówi się, że kryterium uprawniającym do asystencji będzie osiągnięcie co najmniej 80 pkt. we wspominanym wyżej formularzu.

NIK dowiódł, że te formularze – i postępowania z nimi związane – są gówno warte. W żadnym z badanych zespołów orzeczniczych nie zapewniono pełnej kadry medycznej – brakowało zwłaszcza psychiatrów i otolaryngologów. Oczywiście szło o niskie stawki. Efekt: „orzeczenia były często wydawane przez lekarzy o specjalnościach niezwiązanych z konkretnymi schorzeniami pacjentów, co mogło prowadzić do błędnych decyzji, które nie uwzględniały specyfiki niektórych rzadkich czy przewlekłych chorób”.

Jakby tego było mało – pisze NIK – „w każdej kontrolowanej jednostce stwierdzono przypadki nierzetelnego sporządzania przez lekarzy ocen stanu zdrowia osób ubiegających się o orzeczenie, ponieważ nie zawierały one informacji dotyczących rokowania przebiegu choroby. Działanie takie również nie sprzyjało przejrzystości podejmowanych rozstrzygnięć, a nawet sprawiało wrażenie arbitralności, gdyż prowadziło do pomijania w postępowaniu orzeczniczym szczególnie istotnych aspektów zdrowotnych”.

Jak do władzy dojdzie znowu PiS (z Konfą i/lub Braunem), nic dobrego osobom z niepełnosprawnościami to nie przyniesie, podobnie jak poprzednie osiem lat rządów kaczystów nie przyniosło. Ale jest rozwiązanie – jak trwoga, to do Boga. A konkretnie jego przedstawicieli na Ziemi, patronów obchodzących co roku swoje święto. Chorzy mają wielu patronów katolickich – modły tylko w pierwszej połowie września można wznosić do św. Idziego (1 września), św. Rozalii (4 września), św. Gwidona z Anderlechtu (12 września).

A ci, którzy jeszcze nie są niepełnosprawni i boją się zapaść na trudne do leczenia choroby, niech modlą się do swojej patronki – św. Małgorzaty z Antiochii Pizydyjskiej…

ZUZ

W pościgu za dowodami

Koledzy Karola

Andrzej Stankiewicz i Kamil Dziubka z Onetu w grudniu ubiegłego roku pochwalili się jako pierwsi dziennikarze lekturą sekretnego raportu o Karolu Nawrockim, ówczesnym pisowskim kandydacie na urząd prezydenta RP, przygotowanym dla wierchuszki partyjnej, w tym samego prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Według raportu obecny prezydent RP to przyjaciel gangusów z Trójmiasta, co Kaczyńskiemu zupełnie nie przeszkadzało namaścić go na Dudę bis. Sylwetkę jednego z nich, sutenera i faszola Olgierda L., szczegółowo przedstawił jeszcze w 2019 r. Bertold Kittel w „Superwizjerze” TVN.

Po upublicznieniu pisowskiego raportu ten ci gangster nagle – bo na początku stycznia 2025 r. – trafił do pudła. Według oficjalnego komunikatu miał „przechodzić” w śledztwie dotyczącym głośnych podpaleń na terenie całego kraju – oczywiście będących, jak wszystkie tego typu przestępstwa w ostatnim czasie, efektem działań agentury Kremla. Na dniach w Hamburgu zatrzymano również Patryka M. zwanego Wielkim Bu – w przeszłości również sutenera i modela ze wspólnych zdjęć z Karolem Nawrockim.

„Jeżeli ten człowiek jest o cokolwiek podejrzewany, jeżeli są na to dowody, a zakładam, że prokurator ma jakieś dowody, bo sąd wydał nakaz aresztowania tego człowieka, jeśli doszło do jego aresztowania, to znaczy, że są jakieś podstawy do tego, żeby tego człowieka zatrzymać, postawić przed prokuratorem, postawić mu zarzuty, ewentualnie akt oskarżenia, później postawić przed sądem” – dość zawile komentował aresztowanie „Wielkiego Bu” rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz. I dodał cytatę z Nawrockiego: „Powiedział o tym, że z tym panem się znał wiele lat temu, boksował z nim razem na jednej sali. Spotkał się z nim raz, zrobił sobie z nim zdjęcie, bo przyszedł do Instytutu Pamięci Narodowej. Żadna tajemnica”…


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czy teraz rury nie zmiękną Olgierdowi L. i Patrykowi M., kiedy w drzwiach celi staną nagle wysocy oficerowie CBŚ i zaczną ich inteligentnie namawiać do wyjawienia tajemnic alkowy i życia kibicowskiego ich znajomego Karola N.?

My jednakowoż na miejscu prezydenta zaczęlibyśmy gorzej spać i mniej szczerzyć kły, tak na Narodowych Czytaniach czy wcześniejszych spotkaniach z lokatorem Białego Domu. Taki „Masa”, niezłomny i nieprzekupny – jak wydawało się jego kolegom po fachu – poszedł swego czasu na współpracę z organami ścigania. Dostał w nagrodę od państwa dożywotnią ochronę, zwaną „koroną”, a więc status świadka koronnego w kilku procesach.

Przy okazji tylko rozpytując o sprawy, za które obaj panowie trafili do aresztu?

Bo nie ma przypadków, są tylko znaki. Zwłaszcza kiedy stawką są najbliższe wybory do parlamentu. Nawrocki zyskujący w sondażach popularność to śmiertelne zagrożenie dla liberałów i całej szeroko rozciągniętej koalicji rządowej, gdyż swojej rozpoznawalności użyje jako dźwigni dla wspierania prawicowej opozycji. Która i bez tego przecież zyskuje, podsycając antyukraińskie i, szerzej, antyimigranckie nastroje.

To rozmiękczanie gangsterskich sumień byłoby też po myśli innego tandemu z Onetu: wspomnianego Stankiewicza oraz Jacka Harłukowicza. Im szykuje się proces cywilny z powództwa Pierwszego Obywatela RP. Na ten moment dowody na poparcie tezy z głośnego tekstu o młodzieńczej pracy Nawrockiego w dziwkarskim biznesie – co błyskotliwie na tych łamach dowiódł Robert Jaruga („NIE” 35/2025) – wyglądają na łatwe do obalenia. Śledztwo nadzorowane przez lubelski wydział Prokuratury Krajowej ds. spraw zwalczania przestępczości zorganizowanej (casus „Wielkiego Bu”) daje niejaką nadzieję, że Nawrocki świnią jednak był.

Wspomóc wiedzą kolegów z Onetu będzie mógł też Bertold Kittel, który od kilku miesięcy szykuje książkę pt. „Sutenerzy Trójmiasta”. „Decyzję o tym, aby opisać trójmiejski świat przestępczy i rolę, jaką w nim odgrywają znajomi Karola Nawrockiego, podjąłem w kwietniu 2025 roku. Trwała kampania wyborcza, a ja pojechałem do Gdańska, gdzie odbywało się jedno ze spotkań wyborczych. Udało mi się zmylić ochroniarzy i zapytać kandydata o pewne wydarzenia z przeszłości. Ale on spojrzał na mnie z ukosa, rzucił coś półżartem i wsiadł do samochodu” – wyznaje we wstępie autor. Przy czym dodaje kokieteryjnie: „Zadaniem dziennikarzy śledczych jest ujawniać sprawy, które celowo bądź z powodu chaosu informacyjnego są ukryte przed opinią publiczną. Dlatego właśnie postanowiłem napisać tę książkę”.

10 września, według deklaracji Kittela, publikacja trafiła do drukarni, a sam proces drukowania zajmie około dwóch tygodni. Pierwszy tysiąc osób, które zamówiły i zapłaciły za książkę przed premierą, ma szansę na świeży egzemplarz z podpisem samego autora.

Czy wśród tych szczęśliwców znajdzie się główny lokator pałacu prezydenckiego? Czy stać go na dystans do samego siebie, czy asekuracyjnie posłuży się niezawodnym w takich razach Adamem Andruszkiewiczkiem, sepleniącym zastępcą szefa kancelarii, i jego osobistym kontem bankowym, z przelewem na kwotę 59,99 zł? Aby ten po szybkiej, tendencyjnej lekturze nagrał na X krótki film biorący w obronę swojego pryncypała. W razie czego posłużymy chętnie swoim egzemplarzem...

JMP

eprasa.pl 066e1a5323

Jeden ruski dron zrodził 54 strony broszury. A kilkanaście dronów?

Broszura antyrakietowa

Zaczęło się w cieniu nocy z 19 na 20 sierpnia, kiedy mieszkańców Osin na Lubelszczyźnie obudził huk. Media zareagowały grozą. „Siedziałem w pokoju... był strzał straszny. Dom się zatrząsł" – opowiadali publikatorom miejscowi.

Niezidentyfikowany wabik latający

Na polu kukurydzy został odnaleziony krater o średnicy pięciu czy sześciu metrów i około półmetrowej głębokości. Ślady materiałów wybuchowych świadczyły, że to nie była awaria, lecz celowa detonacja – a dron, choć wojskowy, najprawdopodobniej był wabikiem, bez głowicy bojowej, zaprogramowanym, by nas testować. Medialnie, rządowo i militarnie.

Nikt nie ucierpiał. Policja i służby terenowe zabezpieczały szczątki metalu i plastiku, potem wojskowi specjaliści stwierdzili, że to ruski dron.

„Rosyjska prowokacja" – ogłosił wicepremier od obrony narodowej. Sprawa była badana, nota protestacyjna wysłana, ale jedno pytanie zawisło w powietrzu, bo otóż nasza obrona powietrzna nie zauważyła obiektu. Ten zaś przeleciał 100 km w głąb kraju, nim runął na polu, ledwie 75 km od stolicy. A radary milczały. „Polskie systemy radiolokacyjne nie zarejestrowały naruszenia przestrzeni powietrznej. Problem polega na tym, że jeśli obiekt leci na małej wysokości, to go nie ma" – diagnoza ekspertów w mundurach była brutalna, lecz prawdziwa.

Papier ci wszystko wybaczy

Zanim rozwiał się smród prochu po samounicestwieniu się drona, rząd skonstatował, że społeczeństwu trzeba dać poczucie bezpieczeństwa. No i wydał broszurę. Kolorowy „Poradnik Bezpieczeństwa" – wersja elektroniczna, ale także drukowana. Dystrybucja prosto do domów, by każdy miał świadomość, poczucie bezpieczeństwa, a nawet rodzinny plan. Brzmi ładnie – wskazówki, jak zachować się w kryzysie, jak reagować na alarmy, jak włączyć radio, co zapakować w plecak, jak ewakuować się ze zniszczonego domu. Okej. Ale dla starszego pokolenia to rzeczy, które wyssali na lekcjach PO i pamiętają do dziś. Ale widać dzisiejsza szkoła tego nie uczy. Bo religia – tak, bezpieczeństwo – nie. Uczymy dzieci paciorków zamiast reakcji na powódź, pożar, zranienie czy inną niefajną sytuację.



Rys. WIDGET

MON, MSWiA i RCB chwalą się, że „w jednym miejscu znalazły się niezbędne informacje dotyczące, w jaki sposób reagować na sytuacje kryzysowe" – i mówią, że to wielki dzień.

No to czytamy. „Latarka i radio na baterie lub na korbkę. Naładowany telefon, ładowarka, powerbank". Brzmi jak rozpiska survivalowca, ale przecież to rutyna: „ZAPASY DOMOWE NA MINIMUM 3 DNI", pisane tak dużą czcionką, jakby to było odkrycie Ameryki.

„Przygotuj rodzinny plan… kontakty awaryjne… miejsce spotkań… dokumenty… aktualizuj i ćwicz". Znacie kogoś, kto nie będąc sadystą znęcającym się nad rodziną, wcieli coś takiego w życie? „Przygotowanie – Oświetlenie i łączność… taśmy, folie, alternatywne źródło ogrzewania, agregat prądotwórczy" – jasne... No i lista cytatów w stylu: „Alternatywna łączność (np. walkie-talkie)", „Żywność wysokoodżywcza gotowa do spożycia", „Ważna rzecz osobista, np. zdjęcie".

To nie koniec. Poradnik mówi: syreny alarmowe, megafony, media, RSO, alerty RCB… I zapamiętaj: mamy tylko dwa sygnały – „ogłoszenie alarmu – ciągły, modulowany dźwięk syreny przez 3 minuty; odwołanie alarmu – ciągły, jednostajny dźwięk syreny przez 3 minuty". Co to jest modulowany dźwięk? A jak brzmi jednostajny? I czy jak jeden lub drugi będą przez 2 minuty, to są ważne, czy nieważne? Tego z „Poradnika" się nie dowiecie.

Jeśli komuś wydaje się, że wyczerpałem już wszystkie poziomy śmieszności broszurki, to nic z tych rzeczy. Są wszak jeszcze rodzinne ćwiczenia. Wyobraźmy to sobie. Mama woła: „Dzieci, czas na rodzinne ćwiczenia według Poradnika Bezpieczeństwa – teraz przez trzy minuty pomodulujemy dźwięk syreny, a potem trzy minuty powyjemy jednostajnie".

W następnej części ojciec rodziny z powagą staje z latarką na korbkę i powerbankiem, córka z pendrivem w ręku, a syn – z laminowaną checklistą. Ćwiczą: „Plecak ewakuacyjny – woda, apteczka, dokumenty, latarka, powerbank, żywność". Mama mówi: „Jeszcze mapy i listy kontaktów. No i świnkę morską musimy zaczipować". W końcu tata stawia fotel na środku pokoju i ogłasza alarm, a dzieci muszą się skryć za nim. I tak raz w tygodniu, aż dojdzie się do perfekcji w celowaniu latarką na korbkę.

Wycie uprzedzające?

W poradniku można znaleźć link do strony gov.pl/kgpsp, która ma informować, gdzie jest najbliższy schron. Klikamy i miast listy obiektów ochronnych znajdujemy zajawki. Jest akcja „Bezpieczne wakacje z Państwową Strażą Pożarną", Pomorski Bieg Strażaków po schodach też jest, tak jak opis konferencji o rozwoju ratownictwa w KSRG przez trzy dekady. Mamy również niusa o odprawie służbowej kadry kierowniczej pożarnictwa, a także materiały o posadzeniu Dębu Pamięci i odsłonięciu tablicy ku czci bohatera. Strona podana w „Poradniku" więc działa – tylko nie ma ani adresów schronów, ani bijącego po oczach linku do ich lokalizacji.

Wiadomo, że bezpieczeństwo kosztuje. Tak jak „Poradnik Bezpieczeństwa". Ile?

„Całkowity koszt opracowania, redakcji, projektowania, tłumaczenia, druku i wersji cyfrowych szacowany jest na podstawie ustaleń między MON, MSWiA, RCB i KPRM. Szczegóły – po zakończeniu projektu" – stoi jak byk na rządowych stronach internetowych. Można więc założyć, że **broszura przyniesie korzyść: może nie obywatelom, ale jej autorom, drukarni, no i poczcie, pod miłym tej władzy prezesem Mikoszem. Miliony, które pójdą na makulaturę o bezpieczeństwie, zamiast na prawdziwy system detekcji dronów albo choćby jeden solidny schron.**

Każda rodzina broszurkę ma dostać. 90 proc. z nich wprost ze skrzynki na listy trafi do śmietnika. Reszta, nim tam wyląduje, poleżakuje gdzieś na zakurzonej półce. Bez czytania – rzecz jasna.

Parę dni po rządowym ogłoszeniu wiekopomności „Poradnika" syreny zawyły. Warszawa, Praga-Południe, sobota, 6 września. Syreny wyją i wyją. Od 16:00 do 17:30, z krótką przerwą. Cisza – i znowu wycie. Internauci panikują, władze mówią: awaria. System ostrzegania ludności się popsuł. Ale syreny nie dają za wygraną i po chwilowym wyłączeniu znów wyją. Ktoś w laboratorium wywalił bezpiecznik albo przewód? I co wtedy robi poradnikowy obywatel, który nauczył się, że „modulowany dźwięk przez trzy minuty – to alarm; ciągły, jednostajny przez trzy – odwołanie"? A tu co? Syreny przez półtorej godziny. Włącz radio – ale nic nie mówią. Do schronu – ale nie wiesz, gdzie jest. Uciekasz i orientujesz się, że plan ucieczki jest papierowy. Jak reagujesz, jeśli alarm dźwiękowy trwa, a instrukcja z broszury przestaje działać?

Bo obywatel, choćby najlepiej przygotowany na kryzys, bez infrastruktury jest bezbronny i bezradny. Tymczasem prawdziwe bezpieczeństwo to realne systemy – detekcja dronów, działające syreny, schrony i edukacja kryzysowa w szkole. Zamiast tego budujemy iluzję. Broszura uczy oczywistości – bo przecież latarka, plecak, radio i trzy minuty wycia to podstawa. Tylko nikt w niej nie uprzedził, że systemu ochrony nie ma, a jego namiastka może się popsuć.

Ba, może też niestety zadziałać. Tak jak w sobotę 13 września w Chełmie i Świdniku, gdzie ludzie najpierw dostali SMS-y o treści: „Zagrożenie atakiem z powietrza. Zachowaj szczególną ostrożność. Stosuj się do poleceń służb", a później usłyszeli wycie syren. Skończyło się tak, jak można przypuszczać – totalnym chaosem, w którym nikt nie wiedział, o co biega. Jedni się mocno przestraszyli, drudzy popukali w czoło, a jeszcze inni pomyśleli sobie o władzy to, na co władza zasługuje.

TADEUSZ JASIŃSKI



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jeżeli Prawo i Sprawiedliwość chce być jak jedna pięść, to eurodeputowany Dominik Tarczyński pełni funkcję szóstego palca: niby pasuje, a jednak nie pasuje. Za katolicki, za narodowy, za skrajny, no i przede wszystkim – jak na pisowca za dobrze mówi po angielsku.

Ten angielski i te poglądy zagnały go ostatnio do Londynu, gdzie eurofaszyści darli japy podczas Free Speech Festival, przy okazji czcząc pamięć zastrzelonego koleżki z Ameryki – Charliego Kirka.

Co wywrzaskiwał Tarczyński?

„Odzyskujemy naszą chrześcijańską Europę! Przejmujemy ten kontynent, ponieważ to jest nasz dom. Kocham Polskę, urodziłem się jako Polak i jestem dumny, że jestem Polakiem, ale jestem też chrześcijańskim Europejczykiem i chcę żyć w Europie. (...) Musimy być bardzo radykalni, zero oznacza zero, dość znaczy dość. Mamy dość! (...) Chcemy odzyskać nasz kontynent". W wolnym tłumaczeniu: Migranci, wypierdalać!

I jeszcze: „Odeślijmy ich z powrotem! Niech was usłyszą w Westminsterze i na całym świecie!".

Kilka lat temu podobnie wołał Nigel Farage o polskich pielęgniarkach, sprzątaczkach i hydraulikach, których „miał już dość na Wyspach".

Czasy tak się jednak zmieniły, że teraz Farage gotów by był uściskać Tarczyńskiego, tak samo jak w Londynie ściskali go inni „nowi Ruscy" (zachodni politycy sprzyjający Rosji i przez nią finansowani): Peter Bystron, europoseł Alternative für Deutschland, i Tommy Robinson, były członek Brytyjskiej Partii Narodowej.

Zabawa w strzelanego

Mam pytanie do insiderów Platformy: czy Tusk pije?

Bo to byłoby jakieś wyjaśnienie jego dziwnych zachowań.

Próbka: tweet z poniedziałkowego wieczoru, godz. 20:16. „Przed chwilą Służba Ochrony Państwa zneutralizowała drona operującego nad budynkami rządowymi (Parkowa) i Belwederem. Zatrzymano dwóch obywateli Białorusi. Policja bada okoliczności incydentu".

Już następnego dnia rano okazało się, że inkryminowani „dwaj obywatele Białorusi" to 17-letnia Białorusinka i jej starszy o cztery lata kolega Ukrainiec, i nie ma żadnych przesłanek co do tego, że chcieli coś wysadzić, albo chociaż szpiegować. Jak wyjaśnił rzecznik specsłużb Jacek Dobrzyński, „być może to wynikało z beztroski, być może z niewiedzy, być może z tego, że chcieli zrobić jakiś film nad Łazienkami", bo akurat spacerowali po Łazienkach. Nieco to ośmiesza narrację premiera naszpikowaną słowami o wadze militarnej: zneutralizować, operować, incydent… Tej śmieszności można było uniknąć; wystarczyło nie informować narodu o wydarzeniu tak kompletnie nieistotnym. Milczenie w tej prawie byłoby rozsądne także dlatego, że oszczędziłoby obywatelom, straszonym na każdym kroku, kolejnego stresu, totalnie zbędnego. Chyba że chodzi o to, żebyśmy się bali?

Żeby było jeszcze bardziej ponuro, w rozpaczliwej próbie uratowania twarzy Tuska władza postanowiła inkryminowanego Ukraińca wyrzucić z kraju i na dodatek przyklepać mu pięcioletni zakaz wjazdu do Schengen. Chłopak ma 21 lat, jest w Polsce od ośmiu – czyli przyjechał jako dziecko, spędził tu doskonałą większość swojego świadomego życia. I teraz wysyłamy go na front – bo, jak wiadomo, na Ukrainie młodzi mężczyźni są wyłapywani i siłą wcielani do wojska. Jak myślicie, ile przeżyje na froncie ktoś, kto wojnę widział tylko w telewizji? Kara śmierci za głupią zabawę – może to nieco za surowy wyrok?

Nie oglądając się na skutki afery z poniedziałku, dzień później premier odpalił kolejnego tweeta, jeszcze bardziej kuriozalnego.

„Cała odpowiedzialność za uszkodzenie domu w Wyrykach spada na autorów dronowej prowokacji, czyli Rosję. O wszystkich okolicznościach incydentu odpowiednie służby poinformują opinię publiczną, rząd i prezydenta po zakończeniu postępowania. Łapy precz od polskich żołnierzy".

Prorządowe media tłumaczą, że to cokolwiek histeryczne wystąpienie było reakcją na oświadczenie BBN: „Prezydent RP Karol Nawrocki oczekuje od Rządu niezwłocznego wyjaśnienia zdarzenia z miejscowości Wyryki. Nie ma zgody na zatajanie informacji. W obliczu dezinformacji i wojny hybrydowej komunikaty przekazywane Polakom muszą być sprawdzone i potwierdzone".

Bluźnierczo wyznam, że w tej sprawie bliżej mi do prezydenta. Chyba jednak lepiej by było, żeby rząd nie łgał i nie ściemniał, zwłaszcza jak coś i tak się wyda. I nieco głupio, że wiceszef polskiego MSZ pokazywał w ONZ zdjęcia z Wyryk, opowiadając, że to Ruscy – skoro musiał już wiedzieć, że 15-kilowy styropianowy nieuzbrojony dron nie jest w stanie zerwać dachu z domu.

Co więcej – mam niejakie wrażenie, że wkurw Tuska był adresowany tyleż do Nawrockiego, co do „Rzeczpospolitej", która jako pierwsza napisała, że dom uszkodziła „rakieta wystrzelona z polskiego F-16, która próbowała strącić lecący dron". Sytuacja, w której premier opierdala dziennikarzy za pisanie prawdy, nie do końca mieści się w koncepcji demokracji liberalnej.

To wszakże szczegół. Z zadymy o Wyryki wynikło coś dużo bardziej niepokojącego.

„Polski żołnierz, polski pilot czy strażnik graniczny nie może spekulować, zastanawiać się: czy interweniować, czy zastrzelić drona, czy otworzyć ogień do agresora. Nie: to musi być tak naturalne, tak automatyczne" – ogłosił Tusk na obchodach rocznicy 17 września. I powtórzył na posiedzeniu rządu: „Polski żołnierz musi mieć stuprocentową pewność, że może podejmować decyzje natychmiast, bez kalkulacji, bez spekulacji, bez zabezpieczeń". A żeby było już zupełnie śmiesznie – zaatakował Macierewicza za bodaj jedyną sensowną akcję w jego rządowym życiu: „Ja pamiętam do dziś, jak dewastujące skutki przyniosły słowa i działania pana Macierewicza, jak był ministrem obrony, kiedy z taką pasją rzucił się na żołnierzy w sprawie Nangar Khel; żołnierzy, którzy strzelali w czasie wojny w Afganistanie".

Przypomnimy: 16 sierpnia 2007 r. w Afganistanie (co myśmy tam w ogóle robili?) polscy żołnierze ostrzelali wioskę Nangar Khel wielkokalibrowym karabinem maszynowym i granatami moździerzowymi kalibru 60 mm, zabijając sześcioro cywilów, w tym kobietę w ciąży i troje dzieci. Po masakrze ustalili zeznania i łgali, że zostali ostrzelani i tylko odpowiedzieli ogniem. Wszyscy zostali uniewinnieni przez polskie sądy.

Czy naprawdę chcemy, żeby ludzie w polskim mundurze „tak naturalnie, tak automatycznie" strzelali do innych ludzi?

Czy chcemy, żeby polscy piloci „natychmiast, bez kalkulacji, bez spekulacji, bez zabezpieczeń" odpalali rakiety, nie zastanawiając się nad ewentualnymi stratami w ludziach, nieruchomościach i inwentarzu żywym?

Czy tego chce Donald Tusk?

Czy też może tylko wydaje mu się, że jak będzie twardzielem, to wygra z PiS i Konfederacją?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 066e1a5323

Nie do dogadania

Najpierw osiem lat rządziła Platforma i zapewniała, że budowa elektrowni jądrowej jest priorytetem. Po niej osiem lat rządziło PiS i również zapewniało, że budowa elektrowni atomowej jest jednym z najważniejszych celów. I co? I nic. Ani jedni, ani drudzy nie wbili nawet łopaty. Za to obecna koalicja rządząca zapowiada wygaszanie energetycznych bloków węglowych i zamknięcie najbardziej dochodowej kopalni w Polsce – Bogdanki.

OZE – czyli odnawialne źródła energii – pną się w górę, stanowią coraz większą część miksu energetycznego. Ale potrzebujemy stabilizatora: źródła energii, które funkcjonuje, kiedy nie wieje wiatr i nie świeci słońce. Póki co tę funkcję pełni węgiel, ale władze zachowują się tak, jak gdybyśmy już mieli czym zastąpić węgiel. A nie mamy. Należałoby więc zadać sobie pytanie, skąd weźmiemy prąd – skoro atomu jeszcze nie ma, a węglowe źródło jest likwidowane?

Osiem lat to za mało, żeby zbudować elektrownię jądrową – dlatego między kadencjami zmieniającej się władzy powinna być ciągłość, koordynacja. Zamiast tego mamy nieustający spór polityczny, który nie pozwala nie tylko dokończyć budowy, ale nawet zacząć. Pani wojewoda na Pomorzu cofnęła zgodę na budowę i warunki zabudowy wydane jeszcze za rządów PiS.

Polska nigdy nie była tak bogata, ale i tak podzielona. Wydajemy jakieś bajońskie sumy na obronność. A drony swobodnie hulają po polskim niebie, a nawet nad kancelarią premiera. Strzelamy do nich pociskami wartymi miliony i rzadko trafiamy. Podrywamy arcydrogie samoloty, które latają za szybko, żeby trafić zabawki poruszające się z prędkością nieco większą niż samochód osobowy.

Nasze „efy” latają z prędkością ponaddźwiękową, więc szansa trafienia ruskiego drona jest słaba. Dlatego większość nie została trafiona. Potrzebujemy dronów – a najlepiej fabryki dronów. W przeciwnym razie nie jesteśmy przygotowani na żadną agresję. Pominąwszy fakt, że

Drony po horyzont

atak rosyjski w najbliższym czasie nam nie grozi. Ale wysyłanie dronów wystarczy, aby pokazać, że jesteśmy bezbronni. A to dla Putina wielka frajda.

Trwają spory o to, kto i gdzie kupi więcej koni do naszej kawalerii powietrznej. Dyskutujemy, kto kupi od Trumpa więcej pancernego złomu – a fabryki dronów, o wiele tańszej, jak nie było, tak nie ma. Obecna sytuacja przypomina okres przed II wojną światową, kiedy to byliśmy dumni z naszej kawalerii. I rzeczywiście nasze konie były wspaniałe, ale Polski nie obroniły.

Od lat mówi się o wybudowaniu w Polsce fabryki leków generycznych. Póki co jesteśmy uzależnieni od importu substancji czynnych z Indii. Gdyby któregoś dnia Hindusom przyszło do głowy wstrzymać zaopatrzenie Polski, zostajemy bez leków. Tym razem obie rządzące na przemian partie ulegają presji koncernów farmaceutycznych, którym leki generyczne się nie podobają, bo są tańsze od tych markowych, a działają tak samo.

Dziś wszyscy są przeciwko umowie z Mercosur. Twierdzi się, że będziemy zmuszeni importować tanią żywność niespełniającą naszych standardów jakości. PiS twierdzi, że to wszystko wina Niemiec.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

W całej UE nie da się znaleźć mniejszości zdolnej ten układ zablokować. Forsują go amerykańskie koncerny, które wykupiły większość żyznej ziemi w Brazylii i Argentynie. Ale PiS woli walić w Niemcy niż w amerykański kapitał, żeby broń Boże nie urazić Trumpa, który za swoim kapitałem stoi murem.

Mówi się, że Niemcy skorzystają na bezcłowym eksporcie do Ameryki Południowej. Ale my też skorzystamy, bo duża część tej niemieckiej produkcji powstaje przy udziale podwykonawców z Polski. Polska i niemiecka gospodarka są zrośnięte. Im lepiej dzieje się Niemcom, tym lepiej Polsce.

Przez dziesięciolecia Unia Europejska dotowała swoje rolnictwo i chroniła je przed zewnętrzną konkurencją. Gdy w 2022 r. wybuchła wojna, zrobiliśmy pierwszy wyjątek i wpuszczaliśmy żywność niespełniającą europejskich norm i o wiele tańszą, żeby pomóc broniącej się przed rosyjską agresją Ukrainie.

Teraz jednak chodzi o całkowitą zmianę polityki – praktycznie o likwidację większości europejskiego rolnictwa. Ma zginąć rolnictwo i rolnicy. Nie będzie już dożynek, bo tak zdecydowały koncerny i liberalna doktryna mówiąca o tym, że nie wolno niczego dotować, bo to rynek wyznaczy zwycięzcę.

Czy polscy rolnicy na tym ucierpią? Oczywiście, że ucierpią. Ucierpią też rolnicy francuscy, włoscy, hiszpańscy. Dlaczego? Bo rządzi kapitał i on o większości takich umów decyduje. Demokracja to tylko fasada, a za kulisami karty rozdają korporacje; w Ameryce Łacińskiej – korporacje z USA.

Skończy się zatem bezpieczeństwo żywnościowe w UE. Zostaną tylko Japończycy uprawiający swój najdroższy na świecie ryż na górskich tarasach. Im ryżu nie zabraknie, choć jego uprawa jest jakieś trzy razy droższa niż ten z importu. Ale Japonia od importu zależna nie jest. Więc może warto było obronić wspólną politykę rolną? Polska niewiele jednak dołożyła do tych starań, bo nawet w takiej ważnej sprawie PiS i PO sabotowały nawzajem działania swojej dyplomacji.

„Zaczęli bez nas” – stwierdzili Krzyżacy, widząc, że pod Grunwaldem toczy się już bitwa, choć bez ich udziału. Tak przedstawił nas na satyrycznym rysunku Andrzej Mleczko.

Gdyby siłom rządzącym na zmianę naszym krajem zależało na nas, mieszkańcach, potrafiliby w jakiejkolwiek ważnej sprawie się dogadać. Dla dobra wspólnego. Ale gdzie tam. Niedoczekanie, im zależy tylko na władzy, nie na Polsce.

PIOTR IKONOWICZ

SŁOWO CZERWONE

PLURALIS MAIESTATIS

Rasputin Tuska

Premier na kozetce

Wiedzieliście, że Rasputin był kobietą? To znaczy – przepraszam, Rasputin jest kobietą. A nazywa się obecnie Natalia de Barbaro. Jest psycholożką. Autorką bestsellerowej, nieliterackiej książki dla pań pt. „Czuła przewodniczka”. W roli carycy Aleksandry Fiodorowej Romanow – premier Donald Franciszek Tusk. W czuły sposób przerabiany na pizdę.

Jak słyszę, że premier ma mentora czy raczej mentorkę, to mi się lekko unosi brew. Jak słyszę, że premier jest zestresowany i Natalia de Barbaro wspiera go psychologicznie w walce ze stresem, to mi się podnosi druga brew. Momencik, a czy to nie jest tak, że polityka to generalnie stresująca impreza i jak ktoś tego nie kuma, to powinien opuścić ową imprezę po angielsku? Ach, zapomniałam, wszakże Donald jest mistrzem opuszczania imprez właśnie – po angielsku.

A czymże to pan, panie premierze, jest tak zestresowany? No gdybym ja była premierem, w dodatku nie wysepki, ale jednak fest dużego europejskiego państwa, to bym czuła dumę, a nie stres. Wiedziałabym już, że nazwisko mam zapisane w historii, a nawet podręcznikach szkolnych. Jak? Chuj jak! Byleby nie przekręcili rzeczonego nazwiska.

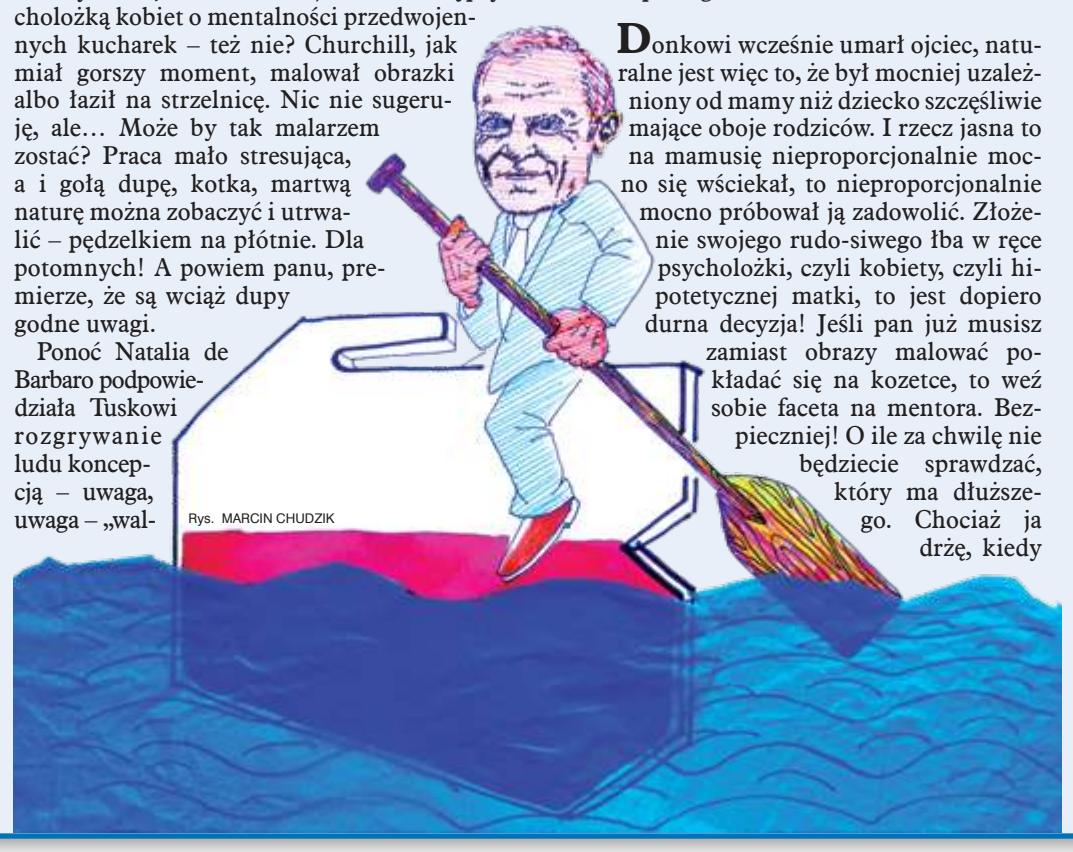
Owszem, premierowanie wiąże się z odpowiedzialnością. Ale to też jest powód do dumy, że dostało się taką odpowiedzialność. Powodem do dumy i do wzięcia na siebie tej radosnej odpowiedzialności są też głosy obywateli, którzy stali w październiku 2023 r. nocą w kolejkach do urn. Zajebisty klub fanowski! Którego zresztą pan, premierze, nie uszanował, bo dupa by panu nie odpadła, gdyby pan do klapy, sweterka, koszuli wpiął sobie brosię z flagą Polski. Infantylne serduszko przylepione na gluta do ubrania jest po prostu żałosne. I sugeruje albo prędką wizytę na SOR-ze, albo powrót do przedszkola. Chodziłam do przedszkola – miałam wlepkę raz z ciuchcią, a kiedy zrobiłam się starsza, cóż, z muchomorkiem.

De Barbaro doradzała Tuskowi w przerżniętych przezeń wyborach prezydenckich w 2005 r. To doświadczenie niczego pana nie nauczyło? To, że de Barbaro jest ukochaną psycholożką kobiet o mentalności przedwojennych kucharek – też nie? Churchill, jak miał gorszy moment, malował obrazki albo łaził na strzelnicę. Nic nie sugeruję, ale… Może by tak malarzem zostać? Praca mało stresująca, a i gołą dupę, kotka, martwą naturę można zobaczyć i utrwalić – pędzelkiem na płótnie. Dla potomnych! A powiem panu, premierze, że są wciąż dupy godne uwagi.

Ponoć Natalia de Barbaro podpowiedziała Tuskowi rozgrywanie ludu koncepcją – uwaga, uwaga – „walki dobra ze złem”. No bez jaj. A jeśli istotnie jest choćby współodpowiedzialna za to, że nieomal wszyscy w tym pięknym kraju dostali wścieku, to tylko gratulować.

Należy pogratulować każdemu, kto do tego przyłożył palec! W końcu bez tych emocji nasze życie byłoby o tyle mniej atrakcyjne… Już lata temu zauważyłam, że ludzie przestali cokolwiek konkretnego i konstruktywnego robić, za to pierdolić o emocjach mogą nieustająco. Tyle że nie myślałam, że tak bardzo przełoży się to na ogólny gnój, po którym obecnie stąpamy.

Która japa w rządzie się nie odezwie – kłamie. Ba, w zasadzie jakakolwiek otwierająca się rządowa japa z automatu oznacza wypłynięcie kłamstwa. Czasem to się rozpoznaje i stąd na przykład wyborcza porażka Bonżura Trzaskowskiego, któremu – ojeju! – pomagała de Barbaro. Tak – pomagała mu radzić sobie ze stresem.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Donkowi wcześnie umarł ojciec, naturalne jest więc to, że był mocniej uzależniony od mamy niż dziecko szczęśliwie mające oboje rodziców. I rzecz jasna to na mamusię nieproporcjonalnie mocno się wściekał, to nieproporcjonalnie mocno próbował ją zadowolić. Złożenie swojego rudo-siwego łba w ręce psycholożki, czyli kobiety, czyli hipotetycznej matki, to jest dopiero durna decyzja! Jeśli pan już musisz zamiast obrazy malować pokładać się na kozetce, to weź sobie faceta na mentora. Bezpieczniej! O ile za chwilę nie będziecie sprawdzać, który ma dłuższego. Chociaż ja drżę, kiedy myślę o tym, że premier kraju wywnętrza się przed kimkolwiek innym niż własnym lustrem przy porannym myciu zębów.

I jeszcze to teatralne wściekanie się Rudego – w kuluarach. Tak dyskretne, aby kuluary znalazły się w każdym domu. Na kogo się pieni – na nieudolnych podwładnych. Gdyby miał lepszych… Jakoś mi to przypomina tę bajeczkę, że batiuszka car jest spoko, tylko bojarzy do dupy.

W sumie niedaleko od carycy do cara, a nawet czasem car i caryca bywają bezpośrednio złączeni – co wszakże może zaowocować straszną, a żywo urodzoną trefą. Cóż zrobić? Pokochać? A może tylko przylepić sobie serduszko z folii? Muchomorek jest mój, przypominam. Zaklepany od lat wdzięcznych a młodzieńczych. Nie ruszać!

Nie jest specjalną tajemnicą to, że nie ja jedna uważam aktualny rząd RP za bandę przegrywów i palantów. Prawica zwęszyła ich krew. Bo broczą – kretynizmami, podłościami, wodą sodową. Prawica biegnie już, aby umoczyć w tej rządowej krwi pyski. Całkiem możliwe, że w tym kontekście przydałby się Tuskowi i jego zgrai pułkowych oferm prawdziwy Rasputin.

Co zaś do fascynacji autentycznej carycy Aleksandry Grigorijem Rasputinem – uratował jej dziecko. Cholera wie, jak to zrobił, ale na odległość dokonał cudu – latem 1912 r. w Spale. Po tym kiedy mały hemofilik niefortunnie, cóż, potknął się na polowaniu…

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 066e1a5323

Polowanie na prezydenta Maduro

Skąd się bierze wenezuelska choroba Trumpa



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

25 lipca sekretarz prasowa Białego Domu Karline Claire Leavitt ogłosiła: „Biuro Kontroli Aktywów Zagranicznych uznało Cartel de los Soles za organizację terrorystyczną o zasięgu globalnym. Cartel de los Soles jest organizacją przestępczą z siedzibą w Wenezueli, kierowaną przez Nicolása Maduro Morosa i innych wysokich dygnitarzy reżimu Maduro, który wspiera materialnie zagraniczne organizacje terrorystyczne, zagrażające pokojowi i bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, takie jak Tren de Aragua i Cartel de Sinaloa”…

Kalumnie i delirium

Kilka dni po tym oświadczeniu prezydent Trump wyznaczył nagrodę wysokości 50 mln dol. za schwytanie prezydenta Wenezueli. 19 sierpnia 2025 r. pojawiła się w mediach wiadomość, że amerykański rząd wysłał w kierunku wybrzeży Wenezueli trzy niszczyciele – USS Gravely, USS Dunham i USS Sampson – wyposażone w wielozadaniowy bojowy system zwany Aegis.

20 sierpnia siły te zostały wzmocnione przez trzy statki amfibie: USS San Antonio, USS Iwo Jima i USS Fort Lauderdale, wiozące 4000 żołnierzy polowych i 2000 piechoty morskiej. Według ostatnich oświadczeń flotę tę wzmocniły: krążownik USS Lake Erie i okręt podwodny o napędzie atomowym USS Newport News dysponujący czterema wyrzutniami wystrzeliwującymi pociski Tomahawk i Harpoon.

Trwająca od końca XX w. agresywna polityka USA wobec Wenezueli to odpowiedź na kurs polityczny przyjęty przez generała Hugo Cháveza i jego następcę Nicolása Maduro. Pod ich rządami Stany utraciły polityczne wpływy i kontrolę nad wydobyciem i eksploatacją wenezuelskiej ropy naftowej. Manewry obecnej administracji wpisują się bezpośrednio w próbę rekonkwisty Wenezueli i włączenia jej w orbitę amerykańskiej dominacji.

Sekretarz stanu Marco Rubio czy prokurator generalna Pam Bondi głoszą, że Nicolás Maduro jest szefem terrorystycznego, narkotykowego gangu Cartel de los Soles – Kartel Słońc – samą zaś Wenezuelę uznali za narkopaństwo. Wenezuela zareagowała zrozumiałym oburzeniem. Rzecznik rządu wenezuelskiego Ivan Gil Pinto poradził amerykańskiej prokurator generalnej, żeby lepiej zajęła się wyjaśnianiem afery Epsteina. W wielu miastach odbyły się gromadzące setki tysięcy ludzi manifestacje poparcia dla prezydenta Maduro.

Wenezuela – wbrew temu, co próbują nam wmówić polskie media – nie jest osamotniona w świecie. Prezydent Kolumbii Gustavo Petro oświadczył, że rzekomy Kartel Słońc jest propagandowym, medialnym tworem służb amerykańskich mającym uzasadnić inwazję na Wenezuelę. Podobną opinię wyraził Pino Arlacchi – były zastępca sekretarza generalnego ONZ i dyrektor oenzetowskiego Biura Kontroli Narkotyków i Zapobiegania Przestępczości – który określił ataki administracji Trumpa jako „polityczną kalumnię wygłaszaną w stanie delirium” i dodał, że Cartel de los Soles jest tworem legendarnym niczym potwór z Loch Ness.

Znana pisarka Isabel Allende – bratanica zamordowanego prezydenta Chile Salvadora Allende – oceniła, że jedynym celem Waszyngtonu w Wenezueli jest zagarnięcie złóż ropy naftowej.

Przyjrzymy się zatem kartelowi, któremu ma przywodzić Nicolás Maduro.

Głównym źródłem wiedzy rządu USA zdaje się być „Pollo” (Kurczak) Carvajal – ścigany w swojej ojczyźnie wenezuelski przestępca, który zbiegł do Hiszpanii. Ostatnio Stany Zjednoczone uzyskały jego ekstradycję; przyciśnięty do muru „Pollo” zeznał Amerykanom wszystko, czego od niego oczekiwali.

Dilerzy z CIA

Znacznie ciekawsze informacje wygenerował Grok – sztuczna inteligencja ze stajni Elona Muska. 7 września 2025 r. na zapytanie niejakiego Omara Eduardo, Grok odpowiedział, że nic nie wskazuje na związki Hugo Cháveza czy Diosdada Cabello (ministra spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i pokoju) z gangami narkotykowymi. I wyjaśnił, że nazwa „Cartel de los Soles” pojawiła się w 1993 r. – i wiąże się bezpośrednio z wenezuelskim generałem Ramónem Guillénem Dávilą, który był kolaborantem CIA i DEA wynajętym w 1988 r. do rozpracowywania kartelu z Cali.

Według śledztwa magazynu „Counter Punch” z 2018 r.,

gen. Dávila współpracował z oficerem CIA Markiem McFarlinem w organizowaniu tzw. kontrolowanych dostaw narkotyków do USA. Miały one uwiarygodnić legendę agentów CIA w kręgach mafijnych. „Cartel de los Soles” to element tej operacji.

Narkotyki przewożono z Kolumbii do Caracas, a stamtąd w pudłach po dżinsach i różnych kontenerach wędrowały do Miami, Los Angeles i Nowego Jorku. W ten sposób, w wyniku błędów i niedociągnięć operacji CIA, na amerykańskie ulice trafiła tona kolumbijskiej kokainy. Warto podkreślić, że mówimy o latach, kiedy władzę w Wenezueli sprawowali prezydenci Carlos Andrés Pérez, José Ramón Velásquez i Rafael Caldera, ściśle współpracujący ze Stanami Zjednoczonymi.

Równie absurdalne są uprawiane przez Biały Dom próby powiązania prezydenta Maduro z gangiem Tren de Aragua. Tak się bowiem składa, że ta organizacja przestępcza związana jest z „demokratyczną” opozycją w Wenezueli. Po ogłoszeniu zwycięstwa Nicolása Maduro w wyborach prezydenckich z czerwca 2024 r. gang ten zaoferował jednej z liderek opozycji, Marí Corinie Machado, wsparcie w postaci bojówkarzy, którzy wzniecali w Caracas i innych miastach krwawe zamieszki mające podważyć wynik wyborów. Nie istnieją też żadne dowody na istnienie jakichkolwiek powiązań Nicolása Maduro z kartelem z Sinaloa.

Warto odnotować, że największymi producentami narkotyków (szczególnie kokainy) w Ameryce Południowej są Kolumbia (61 proc.), Ekwador (34 proc.), Peru (26 proc.) i Boliwia (16 proc.). 87 proc. dostaw narkotyków z Kolumbii, Ekwadoru i Peru do USA odbywa się przez Pacyfik. Od strony Morza Karaibskiego transfer jest dużo mniejszy; z Wenezueli do USA trafia zaledwie 5 proc. kolumbijskich dragów.

Znacznie więcej pomocy oferują kolumbijskim kartelom amerykańskie instytucje. Wenezuelski deputowany Jose Brito twierdzi nawet, że handel narkotykami jest gwarantem stabilności amerykańskiego systemu finansowego. Wskazał on, że np. Wells Fargo Bank posiada wkłady od narkotykowych karteli w kwocie ok. 70 mld dol. Wenezuelska wiceprezydent Delcy Rodriguez dodaje, że w informatorach amerykańskiej agencji do walki z narkotykami (DEA) z 2024, a nawet 2025 r. nie pojawia się ani Wenezuela, ani Cartel de los Soles. Pod koniec wystąpienia panią wiceprezydent chyba nieco poniosły nerwy, bo wypaliła pod adresem DEA: „To wy jesteście największym kartelem narkotykowym na świecie!”. Polemika słowna trwa, ale też sytuacja militarna wokół Wenezueli zagęszcza się.

W powietrzu i na morzu

W odpowiedzi na wrogie działania Stanów Zjednoczonych prezydent Maduro powołał pod broń 2,5 mln milicji ludowej. Jednocześnie, jak poinformował minister obrony Wenezueli gen. Padrino López, wenezuelskie okręty i drony rozpoczęły patrolowanie wód terytorialnych tego kraju.

Trzeba pamiętać, że Wenezuela ma dziś problemy na kilku frontach. 15 tys. żołnierzy i policjantów wzmocniło granicę z Kolumbią, gdzie toczą się walki między wojskiem a oddziałami gangsterskiej organizacji TANCOL zwalczającej prezydenta Maduro. W sierpniu rzecznik oddziałów rządowych Domingo Hernández Lárez donosił o zniszczeniu 10 obozów TANCOL. 7 września wojsko zdobyło obóz logistyczny bojówek TANCOL w pobliżu Rio Temi, w stanie Amazonas. Siły TANCOL były sprzymierzone z Juanem Guaido i do dziś prowadzą zbrojne działania na wenezuelskiej granicy.

Zagrożenie dla Caracas zwiększyło się, gdy w końcu sierpnia premier Trynidadu i Tobago Kamla Persad-Bissessar zakomunikowała, że udostępnia terytorium obu wysp dla armii Stanów Zjednoczonych w akcjach wymierzonych w Wenezuelę. 2 września nadeszła wiadomość, że amerykańskie wojsko zatopiło w środkowych rejonach Morza Karaibskiego niewielki statek motorowy. Zginęło 11 członków jego załogi. Prezydent Trump ogłosił, że statek należał do kartelu Tren de Aragua i był załadowany narkotykami, które miały trafić do USA, nie podał jednak żadnych dowodów. Nicolás Maduro odpowiedział, że amerykańskie enuncjacje to kłamstwo i farsa, a Amerykanie szukają pretekstu, by okraść Wenezuelę z ropy naftowej. 5 września dwa wenezuelskie samoloty F-16 odbyły lot nad amerykańskim niszczycielem USS Dunham. Waszyngton uznał to za próbę zakłócenia operacji przeciw mafiom narkotykowym.

7 września dodatkowe oddziały armii rządowej przybyły, by wzmocnić obronę nadmorskich stanów Zulia, Falcon, Nueva Esparta, Sucre i Delta Amacuro. W tych dniach rząd amerykański wysłał na Puerto Rico 10 samolotów F-35 przeznaczonych do akcji przeciw Wenezueli. 9 września w sieciach społecznościowych rozeszła się informacja, że amerykański helikopter naruszył przestrzeń powietrzną nad należącymi do Wenezueli wyspami. Gen. Lopez uznał to za prowokację, podgrzewającą atmosferę. 12 września amerykański niszczyciel USS Dunham wtargnął na wody terytorialne Wenezueli i zatrzymał wenezuelski statek rybacki Carmen Rosa. 18 żołnierzy amerykańskich sterroryzowało załogę kutra składającą się z dziewięciu rybaków.

I na to wszystko 14 września do Caracas niespodziewanie przybył specjalny wysłannik Donalda Trumpa Richard Grenell – i został przyjęty przez prezydenta Maduro. Oficjalnie tematem spotkania jest kwestia nielegalnych emigrantów i amerykańskich obywateli zatrzymanych w Wenezueli. Trudno powiedzieć, czy przyczyni się ono do rozładowania napięcia między obydwoma krajami.

Sztandar

Działania amerykańskie popierają m.in. Ekwador, Argentyna, Paragwaj – oraz oczywiście Wielka Brytania. Jednocześnie powoli formuje się grupa państw zdecydowanie broniących Wenezueli i przeciwnych amerykańskiej inwazji. Są to: Meksyk, Nikaragua, Kuba, Brazylia i Kolumbia. Prezydenci Kolumbii i Kuby zapowiedzieli, że w wypadku amerykańskiego najazdu włączą się do wojny z agresorem. Przeciw planom inwazji na Wenezuelę wypowiedzieli się też przedstawiciele Chin i Rosji.

Rzecz ciekawa, że amerykańskie plany podzieliły i tak słabiutką „demokratyczną” opozycję wenezuelską. María Corina Machado i Ivan Simonovitz wręcz domagają się bratniej interwencji zbrojnej; w ostatnich dniach wyszło zresztą na jaw, że Machado i jej zwolennicy planowali zamordowanie gen. Padrino Lópeza. Z drugiej strony, były rywal Nicolása Maduro w walce o fotel prezydencki, Enrique Capriles Radonski, zdecydowanie skrytykował obecne działania Stanów Zjednoczonych

Jak zauważa znany włoski ekonomista i ceniony badacz regionu, prof. Luciano Vasapollo, obrona Wenezueli staje się dziś obroną uniwersalnej zasady samostanowienia narodów. „Wenezuela jest dziś sztandarem oporu” – pisze Vasapollo – „ponieważ pokazuje, że inny świat jest możliwy”.

ANDRZEJ ULMER

Trumpolandia

Po wprowadzeniu stanu wojennego w Waszyngtonie Donald Trump skierował swoją uwagę na Chicago, dokąd planuje wysłać gwardzistów z – uwaga – Teksasu. Wiecie, matecznika kowbojów i rewolwerowców. Tym razem jednak, zamiast odwoływać się do ustawy o insurekcjach z 1807 r. – jak uczynił to w Chicago – Trump chce powołać się na pochodzący z czasów Busha przepis mówiący, iż prezydent może „poprosić” Gwardię Narodową z dowolnego stanu o „wsparcie operacji lub misji”. A ponieważ Teksańczycy będą wykonywać prośbę – a nie rozkaz – prezydenta, nie zostaną formalnie przejęci przez władze federalne, co oznacza, że nadal będą podlegać gubernatorowi Teksasu. Jest nim republikanin Greg Abbott, ultraprawicowy oszołom, entuzjasta wolnego dostępu do broni, kary śmierci i całkowitego zakazu aborcji. Który – co trafnie odnotowuje Politico – „nigdy nie pojawia się na żadnej karcie do głosowania w stanie Illinois”, więc nie ma żadnego powodu, żeby liczyć się z opinią mieszkańców Chicago. Na marginesie: podstawowa zasada amerykańskiego prawa konstytucyjnego powtarzana w wyrokach Sądu Najwyższego co najmniej od 1819 r. stanowi, że obywatele, którzy ponoszą ciężar działań władz, muszą mieć możliwość pociągnięcia członków tych władz do odpowiedzialności w wyborach.

Na otwarciu Executive Branch – ekskluzywnego klubu położonego w ekskluzywnej dzielnicy Waszyngtonu, założonego przez ekskluzywne towarzystwo z kręgów administracji – w obecności m.in. sekretarzy transportu, handlu, spraw wewnętrznych i rolnictwa, pojawiła się różnica zdań między Billem Pultem, szefem Federalnej Agencji Finansowania Mieszkalnictwa, oraz sekretarzem skarbu Scottem Bessentem. „Czego, do kurwy nędzy, nadajesz na mnie do prezydenta? Pierdol się. Jebnę cię w jebany ryj” – zagaił sekretarz Bessent. Kiedy współwłaściciel klubu Omeed Malik usiłował interweniować, Bessent zaproponował rozwiązanie: „Albo on, albo ja. Decyduj, kto stąd wypierdala”. Po czym zgłosił jeszcze trzecią opcję: „Albo wychodzimy razem”. „Żeby porozmawiać?” – zapytał cokolwiek naiwnie Pulte. „Nie” – odparł szczerze sekretarz. „Nakopię ci do jebanej dupy”. Warto odnotować, że sekretarz Bessent uchodzi w tej administracji za głos rozwagi i umiarkowania, a Trump osobiście nazwał jego obecność w rządzie „kojącą”.

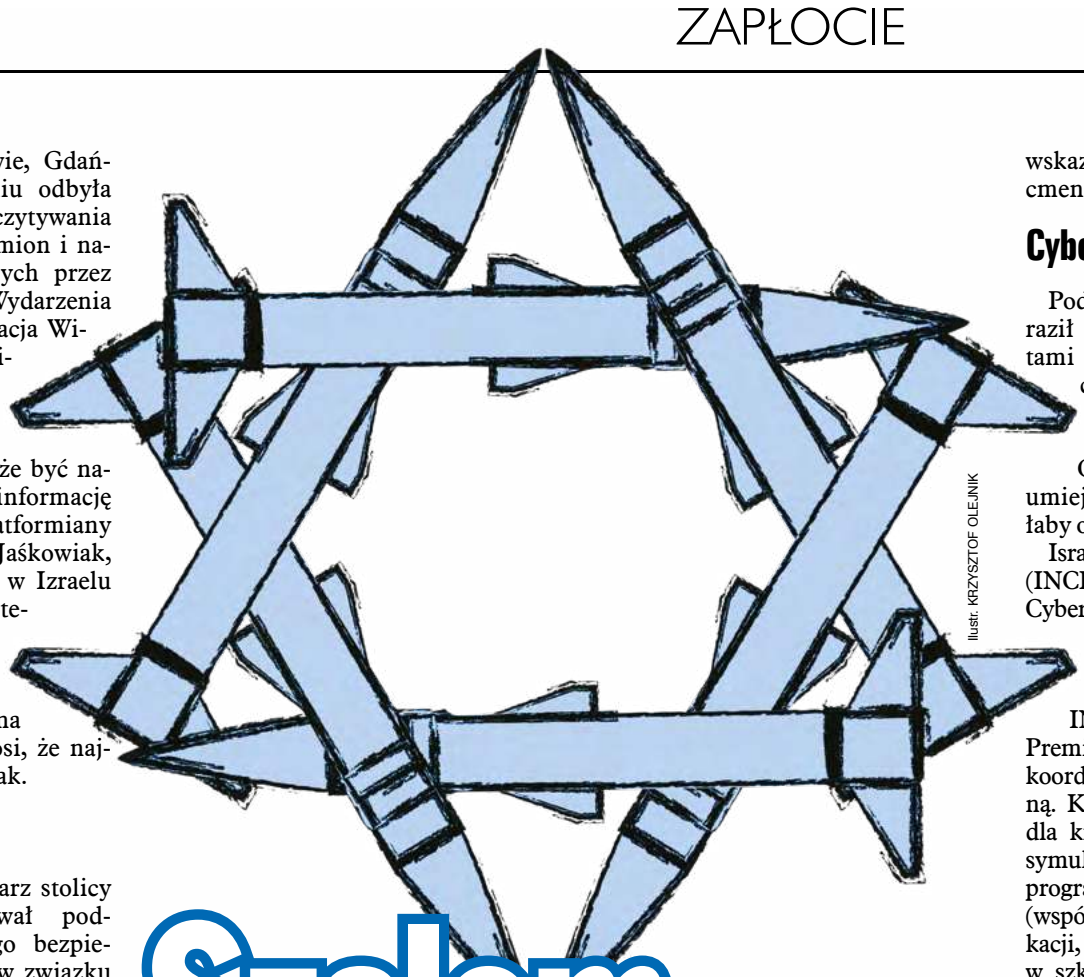
Donald Trump pozywa najważniejszy amerykański dziennik „New York Times”. Domaga się 15 mld dol. (tak, chodzi o liczbę z dziewięcioma zerami). Ale to chuj. Fascynujące są powody pozwu. Otóż Lider Wolnego Świata wyjaśnia, że pozwał „jedną z najgorszych i najbardziej zdegenerowanych gazet w historii naszego kraju”, albowiem „stała się tubą radykalnej lewicowej Partii Demokratycznej”, co stanowi „nielegalny wkład w kampanię”. Prezydent bez fałszywej skromności wymienia grzechy „NYT”: „Od dziesięcioleci kłamie na temat waszego ulubionego prezydenta (MNIE!), mojej rodziny, biznesu, ruchu America First, MAGA i całego naszego narodu” (kolejność, jak zgadujemy, nieprzypadkowa). Pozew głosi, że publikacje „NYT” zaszkodziły „unikalnej marce” Trumpa, powodując „szkody reputacyjne” warte „miliardy dolarów”. Przy okazji Trump pochwalił się „rekordowym ugodami”, jakie zawarł z Disneyem i Paramountem. Godna uwagi jest zwłaszcza ta ostatnia: 16 mln, które Paramount zapłacił w ogóle bez związku z faktem, że finalizuje wartą 8 mld dolków fuzję ze Skydance Media, na którą, w ramach przepisów antymonopolowych, musi wyrazić zgodę rząd. Gwiazda należącej do Paramountu telewizji CBS Stephen Colbert nazwał ugodę „wielką grubą łapówą” i tydzień później CBS zapowiedziało likwidację jego programu. Wolność słowa w ojczyźnie wolności.

AWŁ



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 066e1a5323



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Szalom Jaśkowiaka

Czy aby na pewno bezpieczeństwa musimy uczyć się od Izraela?

14 września w Warszawie, Gdańsku, Katowicach i Toruniu odbyła się akcja publicznego odczytywania 19 tys. zweryfikowanych imion i nazwisk dzieci zamordowanych przez Izrael w Strefie Gazy. Wydarzenia zorganizowały m.in. Fundacja Widzialne, Nauczycielki Solidarne z Palestyną i Akcja Demokracja. Według szacunków faktyczna liczba palestyńskich trupków może być nawet trzykrotnie wyższa. Tę informację powinien zanotować platformiany prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, który zapowiedział wizytę w Izraelu celem szkolenia się w systemach obrony ludności, bo – jak wiadomo – skuteczność Izraela na tym polu opiera się w dużej mierze na starej maksymie, która głosi, że najlepszą formą obrony jest atak.

JJ na barykady

O swoim zamiarze włodarz stolicy Wielkopolski poinformował podczas briefingu dotyczącego bezpieczeństwa, który odbył się w związku z naruszeniem polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony. Jak wyjawił Jaśkowiak, miesiąc wcześniej otrzymał zaproszenie do udziału w spotkaniu z kumplami, którzy są burmistrzami Tel Awiwu i innych miast izraelskich, a do podjęcia aktywności na tym obszarze skłoniło go wielkie ego, tfu, wyskok Federacji Rosyjskiej.

Gdyby pokusić się o złośliwość, można by zapytać Jaśkowiaka, czy zamierza najpierw ostrzelać Gorzów, czy od razu Zieloną Górę oraz czy mieszkańcy Warszawy mają słuszne podstawy do obaw. Niemniej pozostaje faktem, że cesarstwo Binjamina Netanjahu od lat jest niekwestionowanym liderem obronności. Dowcip polega na tym, że pomysł zaimplementowania izraelskich rozwiązań na lokalnych podwórkach może przypominać próbę przeszczepu skrzydeł świni.

Izrael, ze względu na swoje położenie geopolityczne i bogatą historię konfliktów, ma jeden z najbardziej zaawansowanych systemów obrony cywilnej na świecie: zarówno jeśli chodzi o elementy militarne (jak systemy antyrakietowe chroniące ludność cywilną) jak i stricte cywilne: schrony, edukację, propagandę i koordynację ratownictwa. Systemy te ewoluowały od lat 50. ubiegłego wieku, z kluczowymi zamianami po wojnie w Zatoce Perskiej w 1991 r. i konfliktach z Hamasem czy Hezbollahem.

Centralnym elementem izraelskiej obrony cywilnej jest tzw. Dowództwo Tyłów, czyli Home Front Command (Pikud HaOref). System odpowiada za pilnowanie bezpieczeństwa cywilnych dup w kilku obszarach. HFC dba o koordynację z innymi służbami, takimi jak Magen Davin Adom (izraelski Czerwony Krzyż), straż pożarna i organizacje ratunkowe. Zajmuje się również szkoleniami i symulacją dla cywilów, m.in. w kwestiach budowy i utrzymania schronów (Izrael ma ponad 10 tys. miejscówek publicznych i miliony w prywatnych budynkach).

Wydaje instrukcje i alerty za pomocą aplikacji mobilnych na iOS i Androida, wysyłających spersonalizowane ogłoszenia. Ciekawostka: telefon zaczyna wyć i włącza się w nim latarka, dzięki czemu trudno przegapić alert. Apka podaje również czas, w jakim można się spodziewać pierdolnięcia pocisku z niebios. Co by nie mówić, rodzimy alert RCB, który SMS-em powiadamia o burzach, wyborach lub wyłączeniu naziemnego sygnału telewizyjnego, wygląda przy żydowskim odpowiedniku jak program z zespołem alkoholowego upośledzenia płodowego. Fajnie, że Jaśkowiak chciałby się wyedukować w zakresie prawidłowo zaprogramowanych technologii wczesnego ostrzegania – ale póki co jego ekipa nie radzi sobie z systemem elektronicznej sprzedaży biletów w poznańskiej komunikacji miejskiej, który wedle opinii lokalsów (i mojej) ma tyle zalet, że nic, tylko wskoczyć pod tramwaj.

Jeśliby nawet uszyć miejską aplikację, która ostrzegałaby przed nalotem i wskazywała drogę do schronu – sam Poznań posiada ich ok. 650 i mogą pomieścić 90 tys. dusz. Przy ponad półmilionowej populacji stolicy Pyrlandii większość mieszkańców powinna równocześnie z alertem dostać wskazówki dojazdu na najbliższy cmentarz.

Cyber Jacek

Podczas konferencji Jaśkowiak wyraził chęć zapoznania się z elementami izraelskiej tarczy cyberbezpieczeństwa. Będzie musiał zabrać gruby notatnik, bo obsługa social mediów i wyszukiwarki Google to nawet nie przedsionek umiejętności i wiedzy, która pozwoliłaby ogarnąć umysłem to uniwersum.

Israel National Cyber Directorate (INCD), czyli Krajowe Dowództwo Cybernetyczne, zostało utworzone w 2017 r. poprzez połączenie National Cyber Bureau i National Cyber Security Authority. INCD działa pod auspicjami Biura Premiera i jest centralnym organem koordynującym cyberobronę cywilną. Komórka odpowiada za wytyczne dla krytycznej infrastruktury, w tym symulację ataków i hotline dla firm; programy szkoleniowe dla młodzieży (współpracuje z Ministerstwem Edukacji, by integrować cyberedukację w szkołach), koordynuje przekwalifikowanie pracowników dla specjalistów rządowych; wreszcie opracowuje tworzenie norm i standardów, m.in. „Cyber Defense Methodology for Organization". Pod KDC podlega także CERT-IL (Computer Emergency Response Team) – narodowy zespół reagowania na cyberataki, dzielący się doświadczeniem z partnerami międzynarodowymi. Krótko mówiąc, siatka zabezpieczeń, że nie w macę pierdział.

Siły Obronne Izraela (IDF) traktują cyberbezpieczeństwo jako piąty – obok lądu, morza, powietrza i kosmosu – obszar wojny. Na tę okoliczność wojskowe struktury wzbogacono w Jednostki Cyberobrony. Przykładowo taki Unit 8200 – elitarna jednostka wywiadu sygnałowego (SIGINT) odpowiada za zbieranie informacji, deszyfrowanie, kontrwywiad i cyberwojnę. Do szkoleń rekrutuje talenty od 18. roku życia. Jednostka telekomunikacyjna Lotem Unit odpowiada za zabezpieczenia sieci wewnętrznych IDF. Jej centra szkoleniowe są zintegrowane ze start-upami i uniwersytetami. Nawiasem mówiąc, Izrael nie bez powodu zwany jest Startup Nation. W kraju funkcjonuje 469 firm cybernetycznych specjalizujących się w cloud security (bezpieczeństwo chmur obliczeniowych, czyli modeli dostarczania zasobów informatycznych, takich jak pamięć masowa, moc obliczeniowa, bazy danych i aplikacje, za pośrednictwem internetu, zamiast na lokalnych serwerach czy komputerach użytkowników), wykorzystanie AI w detekcji zagrożeń, eksport technologii do USA czy Indii, a nawet fuzje z Microsoft i CyberX.

Pytanie za 100 punktów: co prezydent Poznania z taką wiedzą zrobi. W kraju nad Wisłą funkcjonuje już Krajowy System Cyberbezpieczeństwa (KSC). To złożona struktura, w skład której wchodzi szereg podmiotów o zróżnicowanych rolach i odpowiedzialnościach. Smarkato wypadamy w sektorze finansowania nauki. Może kiedy Jaśkowiak strzeli sobie opaleniznę w Tel Awiwie czy innej Hajfie na koszt podatnika, podpowie premierowi Tuskowi, że 1,02 proc. PKB na badania i rozwój wykształcą nam raczej kadry zbieraczy pieczarek i konserwatorów powierzchni płaskich, bo naukowcy na dziadowskich grantach dorobią się co najwyżej niedowagi, długów i garba? Na razie rząd radośnie pozwala kolonizować cyfrowo Polskę technologicznym gigantom, drogo, ale za to zupełnie bez sensu.

Darmowe wczasy u okupanta

Nie ma nic nagannego w czerpaniu wiedzy od lepiej doświadczonych i rozwiniętych partnerów z zagranicy.

Sprawdzone systemy ochrony cywilnej i cyberbezpieczeństwa mają chociażby Estonia, Szwajcaria czy Finlandia. W przeciwieństwie do izraelskich nie obejmują ludobójstwa. Przyjacielskie klepanie się po pleckach z Izraelem to nie wymiana doświadczeń, a legitymizacja zbrodni.

Nawiasem mówiąc, w 1997 r. Poznań i palestyńskie miasto Nablus podpisały umowę partnerską. Tym bardziej głupio uprawiać denializm eksterminacji mniejszości palestyńskiej…

Pomysł Jaśkowiaka to pusty gest i PR-owy strzał w kolano. Jeśli prezydent Poznania tego nie widzi, powinien mieć na uwadze, że minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski całkiem niedawno odradzał wycieczki do Izraela, grożąc przy tym oszczaniem potrzeby interwencji w razie zagrożenia na jego terenie. Według sondażu przeprowadzonego przez More in Common Polska, 70 proc. ankietowanych Polaków uważa, że Izrael dopuszcza się ludobójstwa w Strefie Gazy. 15 września na Placu Kolegiackim odbyła się manifestacja przeciwko pobieraniu lekcji bezpieczeństwa od Izraela przez prezydenta Poznania.

IDALIA DUBICKA

„V" jak wydumane

Zwycięstwa nawet nie pyrrusowe

„Rosja walczy nie o terytoria, lecz o prawa ludzi, których nie może porzucić" – twierdzi rosyjski prezydent. I taka jest pierwotna geneza tej wojny – co oczywiście w żaden sposób nie usprawiedliwia rosyjskiej inwazji na Ukrainę, ale w pewnym stopniu pozwala zrozumieć jej przyczyny.

O zwycięstwie mówią zarówno ukraiński prezydent Wołodymir Zełenski, jak i przedstawiciele gruzińskiej opozycji. Fakty mówią co innego.

„Ukraina już tę wojnę wygrała"

Tak przynajmniej twierdzi Zełenski – przy czym jego interpretacja zwycięstwa może budzić wątpliwości. Otóż zdaniem Zełenskiego Rosja zamierza przejąć pełną kontrolę nad Ukrainą – a zatem utrzymanie ukraińskiej państwowości i niepodległości już samo w sobie jest zwycięstwem.

Jeśli jednak wierzyć oficjalnym deklaracjom Kremla – czego naturalnie robić nie wolno – zwycięstwo Zełenskiego staje się jakby mniejsze.

Czy się to komu podoba, czy nie, zacytuję w tym momencie rosyjską prasę. „Niezawisimaja Gazieta" przytacza słowa Władimira Putina wypowiedziane podczas międzynarodowego forum ekonomicznego w Sankt-Petersburgu, iż „Rosja nigdy nigdy nie podawała w wątpliwość prawa ukraińskiego narodu do niezależności suwerenności". Putin dodał, że Ukraina uzyskała niepodległość jako neutralne i niewchodzące w skład bloków militarnych państwo.

Warto też przypomnieć wielokrotnie powtarzane oficjalne oświadczenia, że Rosja nie jest przeciwna wstąpieniu Ukrainy do Unii Europejskiej, ponieważ nie jest to blok militarny. To nieco zaprzecza zamiarowi „przejęcia pełnej kontroli nad Ukrainą" – trudno być w UE i jednocześnie podlegać pełnej kontroli Rosji; nawet Węgrom Orbana to się nie udaje.

Powszechnie wiadomo, że polityczne enuncjacje mają wymiar propagandowy – lecz wiadomo także, że propaganda, aby była skuteczna, musi choć w części opierać się na faktach. Przekazowi o zwycięstwie Ukrainy nad Rosją tej części brakuje.

I w Gruzji też zwycięstwo

O zwycięstwie mówi też gruzińska opozycja – a przynajmniej jej nieprzejednana część odmawiająca jakichkolwiek kontaktów z władzą. Ugrupowania opozycyjne przegrały ubiegłoroczne wybory parlamentarne, w związku z czym uznały je za sfałszowane i ogłosiły, że Gruzińskie Marzenie – partia, która od lat wygrywa wszystkie gruzińskie wybory – sprawuje władzę nielegalnie.



Rys. MARCIN CHUDZIK

W związku z czym nielegalne są wszelkie decyzje władzy, łącznie z ogłoszeniem na 4 października wyborów samorządowych. A skoro tak, to należy je zbojkotować. Z bojkotu tego wyłamały się dwa ugrupowania opozycyjne: partia O Gruzję, kierowana przez byłego premiera Giorgi Gacharię i liberalna koalicja Leło – Silna Gruzja. Obie formacje postanowiły wziąć udział w wyborach – przez co naraziły się na falę krytyki ze strony reszty opozycji.

Oczywiście totalna opozycja wyborów tych nie wygra – zwłaszcza że w nich nie wystartuje – jednak już ogłosiła swoje zwycięstwo. Ma ono polegać na tym, że władza Gruzińskiego Marzenia została pozbawiona legitymizacji. Dowodem na to mają być codzienne demonstracje przeciwników władzy, trwające nieprzerwanie od niemal 300 dni. Fakt, że nie doprowadziły one do rewolucyjnego przejęcia władzy, nie ma większego znaczenia – skoro już i tak mamy zwycięstwo. Przedstawiciel opozycyjnej Koalicji na rzecz Zmian, Nano Cereteli, uważa, że zwycięstwem jest wspólna akcja narodu i polityków – jako naród definiując kilkudziesięcioosobowe grupy najbardziej zdeterminowanych demonstrantów na ulicach Tbilisi.

Obydwa te „zwycięstwa" – zarówno prorządowe ukraińskie, jak i opozycyjne gruzińskie – są nawet nie pyrrusowe. Są po prostu wydumane.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 066e1a5323

Miłość im wszystko wybaczy

Muszą łamać amerykańskie sankcje, żeby zapłacić za amerykańskie uzbrojenie.

Jeszcze w kwietniu tego roku wiceprezydent USA James David Vance pod niebiosa wychwalał Indie i jej premiera Modiego. Ogłosił Indie wschodzącą potęgą pewną swojej tożsamości narodowej i „poczucia nieskończonych możliwości". Są też Indie pozytywnym przeciwieństwem Zachodu ogarniętego „strachem przed przyszłością". Mało brakowało, a rzekłby, że podobnie dążące do wielkości i odzyskania tożsamości narodowej USA powinny wzorować się na Indiach.

Jak zauważył „New York Times", ta nowa trumpistowska polityka to efekt rosnącego zaangażowania Chin w Pakistanie. Po wycofaniu się wojsk amerykańskich z Afganistanu znaczenie sąsiedniego Pakistanu dla administracji Waszyngtonu spadło. Pakistański ból po stracie sponsorskiego partnera wykorzystały Chiny. Państwo od dziesięcioleci rywalizujące z wrogimi wobec Pakistanu Indiami. Też nieposiadające uregulowanej linii granicznej z Indiami.

Kocham, to sprzedaję

Siłę amerykańskiej miłości w jej polityce zagranicznej można poznać po poziomie dostaw amerykańskiej broni. Do 2010 r. Pakistan korzystał z amerykańskiej hojności, dostawy z Chin stanowiły jedną trzecią ogółu.

Po 2020 r. zakupy chińskiego uzbrojenia sięgają w Pakistanie już 80 proc. wszystkich wydatków.

W tym czasie Indie kupowały broń przede wszystkim w Rosji, od niedawna też we Francji. Import broni z USA wzrósł ostatnio do 10 proc. ogółu.

Wiosną 2025 r. administracja Trumpa postanowiła pokochać Indie jeszcze mocniej. Zapewne rozkwit uczuć wywołały wcześniejsze deklaracje chińskiego prezydenta Xi, który zachęcał Indie do zwiększenia współpracy gospodarczej, proponując, aby zamrozić ich spory graniczne.

Administracja USA postanowiła przyciągnąć Delhi, co było widać w trakcie kwietniowej wizyty wiceprezydenta Vance'a w Indiach.

Niestety – zapewne nieprzypadkowo – w tym czasie miał miejsce krwawy zamach na indyjskich turystów w Kaszmirze. Sprawcami byli separatyści popierani przez Pakistan. Wybuchła kilkudniowa wojna indyjsko-pakistańska. Konwencjonalna, z użyciem rakiet i samolotów. Zamknięto granice i przestrzenie powietrzne.

Przy okazji przetestowano zakupioną broń. Okazało się, że chińskie myśliwce używane przez Pakistan są skuteczniejsze od rosyjskich i francuskich walczących w barwach indyjskich. Nic dziwnego, że dobry wujek Trump zaproponował Indiom wielkie dostawy amerykańskiego uzbrojenia, w tym najnowszych samolotów F-35.

Obiecał też, że doprowadzi do pokoju między Indiami i Pakistanem.

Ale oba państwa muszą chwilę poczekać. Wpierw Trump musi ustanowić zaległy pokój w Ukrainie, pogodzić Żydów i Palestyńczyków, Azerów i Ormian, ukarać Iran, wprowadzić demokrację w Wenezueli, a także przyłączyć Grenlandię i Kanadę do USA.

Albo kochasz, albo nienawidzisz

„Indie pokochasz albo znienawidzisz". Tak skomentował znajomy mi znawca Indii na wieść, że się tam wybieram.

Ruszyłem do Indii, bo chciałem zobaczyć jedną z kolebek naszej cywilizacji.

Wiele krajów zwiedziłem turystycznie i jeszcze więcej państw. Te dzięki mej pracy poselskiej. Żadne z widzianych nie przypominało mi widoków Indii.

Chwilami stare, handlowe zaułki Delhi miały klimaty starych kwartałów Sajgonu. Poznanych ćwierć wieku temu, dziś już nieistniejących.

Czasem spieczona upałem czerwona ziemia i żyjący na ulicy ludzie przywodzili na myśl widoki zapamiętane z Ghany. Z Czarnej Afryki. Ale tam, wobec gigantycznych Indii, wszystko było w znacznie mniejszej skali.

Pojechałem do Indii, by zobaczyć mocarstwo demograficzne, globalnego gracza politycznego aspirującego do statusu gospodarczego mocarstwa. Wcześniej wiele razy jeździłem do Chin – mocarstwa gospodarczego, politycznego i demograficznego. Konkurenta Indii. Pewnie dlatego ciągle porównywałem te azjatyckie potęgi.

W ciągu ostatnich dwóch lat byłem w Chinach trzykrotnie. Czułem się, jakbym przenosił się w przyszłość. W stan wszechobecnej, technologicznej nowoczesności, jaką Polska osiągnie może za 15 lat.

W Indiach czułem się, jakbym powrócił do przeszłości technologicznej, infrastrukturalnej. Do Polski 30 lat temu. Czasem do okresu młodości.

Ruszając tam, znałem dane Banku Światowego. Chińskie PKB wynosiło w roku 2023 ok. 17 bln dol. amerykańskich, a indyjskie – niecałe 2,4 bln. Dzielone na mieszkańców dawało statystycznemu Chińczykowi 12 tys. dol., a Hindusowi 2,4 tys. dol.

Chiny, zwane fabryką świata, produkują wszystko, czego światowy konsument zapragnie. Wytwarzają ponad 28 proc. globalnej produkcji przemysłowej. Dziś trudno na świecie znaleźć produkt przemysłowy, który przynajmniej częściowo nie powstał w chińskiej fabryce.

Gigantyczne Indie wytwarzają jedynie 2,8 proc. światowej produkcji. Ten dystans łatwo tam dostrzec. Wszystko, co nowoczesne i widoczne od razu – telefony komórkowe, panele słoneczne, skutery – pochodzi z chińskich fabryk. Reszta tego, co nas otacza – czyli samochody osobowe, autobusy, ciężarówki, statki wycieczkowe, pociągi – wyglądają, jakby pochodziły z second handu. Mają już swoje lata. Ale są pieczołowicie konserwowane i ciągle używane.

W Chinach można dojechać z każdej i do każdej metropolii dzięki sieci szybkich pociągów osiągających prędkość przelotową 300 km/h. Podróż na trasie 1400 km to pięć komfortowo spędzonych godzin.

W Indiach przejazd pociągiem na podobnej trasie trwa około 18 godzin. Dla zagranicznych turystów survival, kiedy mogą poczuć się Indianą Jonesem.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zbuduj drogę

A jeszcze w 1980 r. gospodarki obu państw były na podobnym, niskim poziomie. W 1990 r. miały podobny poziom wartości zagranicznych inwestycji. 12 lat później wartość takich inwestycji w Chinach była 20 razy większa od tych w Indiach.

Stało się tak, bo od początku lat 90. XX w., kiedy Chiny zaczęły przekształcać się w „fabrykę świata", część osiąganych zysków przeznaczano na budowę infrastruktury transportowej.

„Chcesz być bogaty, zbuduj drogę" – mawiają Chińczycy od tysięcy lat. I konsekwentnie przez ostatnie 40 lat budowali autostrady, sieci szybkich pociągów, porty i lotniska. Projektowane na przyszłe potrzeby. Musiały też być energetycznie niskoemisyjne, posiadać powierzchnie zazielenione.

W Indiach wzrost produkcji przemysłowej, biznesowej nie przekładał się na rozwój publicznej infrastruktury.

Gigantyczne zyski były i są kumulowane przez najbogatsze rodziny i grupy towarzyskie. Hinduscy bogacze nie muszą się martwić kiepskim stanem komunikacji, bo mają w swych rezydencjach lądowiska dla własnych samolotów i helikopterów.

Niestraszne im są miejskie korki, bo żyją we własnych enklawach. A jeśli zamarzą o życiu wielkomiejskim, to mogą wybudować sobie prywatne wieżowce w centrum miasta. Taki drapacz chmur, zamieszkany jedynie przez pięcioosobową rodzinę Ambanich i ich służbę, pokazywany jest odwiedzającym zatłoczony Mumbaj. W Indiach akceptowalne jest ostentacyjnie demonstrowanie bogactwa, zwłaszcza podczas imprez rodzinnych i korporacyjnych.

W Chinach nie brakuje wielce bogatych rodzin i sitw. Ale poprawność nakazuje bogactwo ukrywać, demonstrować skromność.

Pomimo tego w zachodnich mediach Chiny były i są prezentowane przede wszystkim jako „komunistyczna" dyktatura. Podstępna i szpiegująca. Wróg „lidera wolnego, demokratycznego świata", czyli USA.

Indiom za to udało się przekonać te „wolne media", że stanowią „największą demokrację na świecie". Bo raz na jakiś czas rządzący Indiami organizują wybory parlamentarne. I czasem lokalne, ale te zwykle, kiedy rządzący są pewni swej wygranej. Te demokratyczne indyjskie wybory pełne są wykluczeń opozycyjnych grup wyborczych, fałszerstw i kupowania głosów. Gdyby nadzorowali je obserwatorzy z OBWE albo Rady Europy, nie uznaliby ich za spełniające standardy zachodniej demokracji. Pomimo tego premier Modi może mienić się „demokratycznie wybranym".

Kiedy miłość odchodzi

Świat się zdziwił, kiedy 27 sierpnia prezydent Trump podwyższył do 50 proc. cła na import towarów z Indii. To stawka o 16 punktów procentowych wyższa niż przewidziana dla Chin, zwanych strategicznym rywalem Stanów Zjednoczonych. Większość państw Azji Południowo-Wschodniej ma stawkę 19-procentową, a sojusznicza Korea Południowa 15 proc.

A wszystko dlatego, że prezydentowi Trumpowi nie spodobało się, że Indie masowo skupują rosyjską ropę, przerabiają ją i sprzedają, gdzie tylko mogą. Kupują więcej i drożej tej rosyjskiej ropy niż Chińczycy, bo oni mają silniejszą gospodarkę i mogą się z Rosją targować.

A Indie potrzebują kasy. Przecież te samoloty F-35 obiecane przez Trumpa za darmo nie są. Muszą łamać amerykańskie sankcje, żeby móc zapłacić za amerykańskie uzbrojenie.

Wieść o tym, że premier Modi, przywódca „największej demokracji świata", łamie sankcje nałożone przez przywódcę „wolnego, demokratycznego świata" – czyli ma go za frajera pompkę – wstrząsnęła prezydentem Trumpem, czyli tym przywódcą „wolnego, demokratycznego świata".

I dlatego Trump znienawidził Modiego, choć kochał go niedawno. Ale życie uczuciowe zdradzonych dumnych facetów zna takie przypadki.

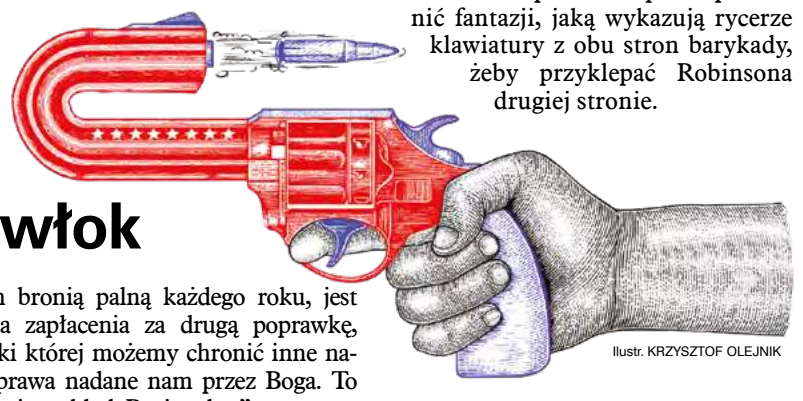
W odwecie porzucony Modi zaczął publicznie kochać się politycznie nie tylko z prezydentem Rosji Putinem, lecz także z prezydentem Xi. Powstał trójkąt politycznych kochanków, przywódców państw i gospodarek posiadających liczne sprzeczne interesy.

Okazuje się, że amerykańskie cła potrafią wyswatać największych wrogów.

PIOTR GADZINOWSKI

Męczennik MAGA

O pożytkach ze zwłok


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wyjaśnijmy sobie na początku: Charlie Kirk – ultraprawicowy aktywista, celebryta spod znaku MAGA (Make America Great Again; hasło wyborcze Trumpa zerżnięte od Reagana), zastrzelony w zeszłą środę na kampusie Uniwersytetu Utah Valley – był kawałem mendy.

Ksenofobicznym, nacjonalistycznym, rasistowskim, islamofobicznym, homofobicznym, trasfobicznym bigotem, mizoginem i religijnym świrem, który z dumą ogłosił, że gdyby jego 10-letnia córka został zgwałcona, zmusiłby ją do urodzenia dziecka gwałciciela. W związku z okolicznościami jego zgonu warto przytoczyć jego opinię na temat kontroli dostępu do broni: „Myślę, że ta cena, niestety, iluś tam śmierci spowodowanych bronią palną każdego roku, jest warta zapłacenia za drugą poprawkę, dzięki której możemy chronić inne nasze prawa nadane nam przez Boga. To rozważny układ. Racjonalny".

Nie mam poczucia, że od śmierci Charliego Kirka świat stał się gorszy. Nie mam też poczucia, że stał się lepszy – Ameryce już nic nie pomoże, a jej toksyczny wpływ rozlewa się po całym globie.

20 tys. ludzi rocznie ginie w USA od strzałów z broni palnej – nie licząc samobójstw – i w zasadzie nie ma powodu, żeby szczególnie zajmować się Kirkiem. Gdyby nie aspekt polityczny.

Fascynujące jest to, co internet robi z postacią jego zabójcy – Tylerem Robinsonem. Wprost nie sposób przecenić fantazji, jaką wykazują rycerze klawiatury z obu stron barykady, żeby przyklepać Robinsona drugiej stronie.

Działa to mniej więcej tak.

Prawica mówi: – Kirk był bohaterem MAGA, kochał Trumpa, więc to oczywiste, że jego zabójca reprezentuje Partię Demokratyczną, liberałów, lewaków, komunistów, pedałów, woke (osoby progresywne kulturowo) albo jest ekstremistą islamskim, co na jedno wychodzi.

Na co lewica odpowiada: – Gówno, widzieliście jego zdjęcie w koszulce z Trumpem? Jego rodzice to republikanie, jego babcia to republikanka, całe miasto jest MAGA, stan jest MAGA, on na pewno też jest MAGA.

Prawica: – To zdjęcie to fejk rozpowszechniany przez fejk media. Oczywiście, że im wierzycie, bo macie wyprane mózgi. Robinson jest lewakiem, nawet napisał to na kuli, którą zabił Kirka (na jednym z pocisków był napis „Hej, faszysto, łap" i rysunek symbolu antify).

Lewica: – No właśnie, na kuli. Kto się bawi kulami? I że zabił jednym strzałem? To dowód, że jest entuzjastą broni, więc MAGA. I do tego w liceum się pętał koło Junior ROTC (Młodzieżowy Korpus Szkolenia Oficerów Rezerwy), widać, że interesowało go wojsko…

Prawica: – Ale się nie zaciągnął!

Lewica: – Ale ciągle grał w Call of Duty!

Prawica: – Mieszkał z transem! Jaki prawdziwy konserwatysta mieszka z transem i jeszcze udaje, że facet to dziewczyna?

Lewica: – A słyszeliście, że jak w mieście jest konwencja republikańska, to Grindr (gejowska aplikacja randkowa) się zacina, bo tyle ma ruchu na serwerze?

Prawica: – Grindr srindr! Rodzina Lance'a Twiggsa (transpłciowego partnera Robinsona) zerwała z nim stosunki z powodu jego wrogości wobec każdego, kto wyznaje konserwatywne lub chrześcijańskie wartości…

Lewica: – Dom, w którym Robinson mieszkał z Twiggsem, należy do rodziny Twiggsa, więc to całe zerwanie stosunków to ściema…

Skąd my to znamy?

Kiedy w 2010 r. Ryszard Cyba zastrzelił Marka Rosiaka, PiS ogłosiło, że „członek Platformy z nienawiści zamordował działacza PiS"; narracja ta powtórzyła się pół roku temu, kiedy sąd zwolnił Cybę z powodu postępującej demencji i kompletnego braku kontaktu z rzeczywistością. „Koledzy uwalniają kolegów" – orzekł Jarosław Kaczyński.

Kiedy w 2019 r. Stefan Wilmont zasztyletował Pawła Adamowicza, dokładnie z tego samego scenariusza swoje role odgrywała druga strona, oskarżając PiS o szczucie na wielkiego człowieka PO – mimo że Adamowicz rozstał się z Platformą cztery lata wcześniej, i to bynajmniej nie w przyjaźni. Obie strony przypisywały sobie nawzajem nieszczęsnego Brunona Kwietnia, który za komediowe przygotowania do zamachu na sejm dostał de facto czapę – zmarł w więzieniu.

Morał: skoro klasę polityczną mamy równie pojebaną jak w Ameryce – chwała Nieistniejącemu, że nie mamy pojebanych amerykańskich przepisów, jeśli chodzi o dostęp do broni.

Pilnujmy tego.

AWŁ

eprasa.pl 066e1a5323

Ateiści nie muszą kompromitować Kościoła, wystarczą wierni.

Wszechświat królujący powiatem

Maków Mazowiecki, 21 sierpnia. Kolejna sesja rady powiatu, kilka punktów w porządku obrad, kilka głosowań, jakiś wniosek formalny. Zapamiętano jednak jedynie, że tegoż dnia Jezus Chrystus został uroczyście intronizowany na króla powiatu. „Za" głosowało siedem osób, osiem nie wzięło udziału w głosowaniu, dwie były nieobecne. Projekt uchwały był inicjatywą obywatelską, pod którą podpisało się 300 mieszkańców.

Zduszony płomieniem dewocji rozsądek zarządu powiatu próbował jeszcze podnieść głos – uznano niesłusznie, że brakuje podstawy prawnej. Starosta Mirosław Augustyniak się starał: „Trudno się nie zgodzić z uzasadnieniem, ale nie wszystko, co słuszne, ma pokrycie w prawie". Tyle że prawnik obecny na sali uznał uchwałę za ważną.

Chwilę później przez całą Polskę popłynęły memy, komentarze, nagłówki. Władze powiatu wydały oświadczenie, w którym nie kryły wstydu. Padały słowa o kompromitacji, o tym, że radni PiS „ośmieszyli powiat na całą Polskę", że inicjatywa była kontrowersyjna, a mieszkańcy być może „zostali zmanipulowani". W tle pojawiły się zapowiedzi publikacji listy podpisanych pod projektem. Klub PiS odpowiedział: „zagłosowaliśmy według sumienia" – i przyznał, że gdyby uznano projekt za nielegalny, powinien on zostać odrzucony, zanim trafił pod głosowanie.

Nie minęły trzy dni, a w lokalnej piekarni można było usłyszeć: „No i dobrze. Lepszy Jezus za patrona niż starosta bez jaj".

Lucyfer zgodny z prawem

Bo najzabawniejsze, że tego typu uchwały nie są bezprawne. Ustanowienie patrona – czy to miasta, czy powiatu – odbywa się na mocy art. 18 ust. 2 pkt 13 ustawy o samorządzie gminnym, który pozwala radzie gminy podejmować uchwały w sprawach „symbolicznych i honorowych". Podobnie art. 12 pkt 11 ustawy o samorządzie powiatowym oraz art. 18 pkt 15 ustawy o samorządzie województwa.

To dlatego, że uchwały tego typu są co najwyżej wyrażeniem światopoglądu – nie skutkują zmianami prawa miejscowego, nie ingerują w życie obywateli, nie są też obowiązkowe w żadnym wymiarze. Z tej racji nie podlegają nadzorowi wojewody ani nie bywają zaskarżane do sądu administracyjnego.

Niektórzy prawnicy podkreślają, że jest to „prawo łaski", rozciągnięte na lokalną symbolikę. Inni widzą w tym przemycony konkordat w wersji samorządowej. A jeszcze inni – brak dojrzałości świeckiego państwa.

W dotychczasowej historii polskiej samorządności nie ma udokumentowanego przypadku, by tego typu uchwała została unieważniona przez sąd lub zakwestionowana przez nadzór prawny. Również władze kościelne – co ciekawe – milczą, nawet gdy patronat, mając formę religijnej „intronizacji", jak w przypadku Makowa, ośmiesza zarówno religię, jak i watykańską czapkę katolicyzmu, która to równiutko 100 lat temu uznała Jezusa za Króla Wszechświata, znaczy Makowa też.

Kościół w Makowie nie zajął stanowiska. Żaden biskup nie potwierdził, nie zaprzeczył, nie pobłogosławił – choćby szeptem. Rzecznik diecezji łomżyńskiej stwierdził lakonicznie: „Nie prowadzimy procesu intronizacyjnego. To sprawa świecka".

Królowa Polski gminnej

Nie bardzo otóż jednak. Przez ostatnie trzy dekady świeckie samorządy w całym kraju, od Żarek po Serock, decydowały się na sięgnięcie po opiekę z nieba.

Weźmy Żarki. W sierpniu 2018 r. rada miejska z inicjatywy lokalnego historyka, którego znajomi nazywają „profesorem od cudów", podjęła uchwałę o ustanowieniu Matki Bożej Leśniowskiej patronką gminy. Wzruszenia nie brakowało – sołtys jednej z wiosek płakał, a burmistrz powiedział: „Wreszcie ktoś za nami stanie, nie tylko w radzie". Kongregacja Watykańska zatwierdziła patronat w 2020 r., a rok później zorganizowano procesję przez rynek z figurą i orkiestrą, która próbowała zagrać „Barkę", ale utknęła w połowie.



Rys. TOMASZ WIATER

W Jarosławiu w 2006 r. powiat ustanowił św. Michała Archanioła swoim patronem. Pomysł narodził się w głowie radnego, który – jak głosi legenda – miał we śnie widzenie, że „diabła trzeba pogonić". Uchwała przeszła jednogłośnie.

Międzyzdroje przebiły wszystko: w 2017 r. św. Piotr Apostoł został patronem. Inicjatorem był proboszcz, który ogłosił, że skoro miasto jest nad morzem, to patronem musi być rybak. Pomysł się przyjął i nawet urlopowicze zaczęli o to pytać w informacji turystycznej.

Krzyżackość zobowiązuje

W Ostrowie Wielkopolskim już w 2004 r. radni postanowili, że św. Stanisław, Biskup i Męczennik to właściwy patron. Bo jak głosił ówczesny prezydent miasta: „Niech wreszcie ktoś tu cierpi za nasze grzechy". Uchwała przeszła bez fanfar, ale za to z kazaniem na rynku.

Tczew i św. Roch? Proszę bardzo – rok 2021, głosowanie przeszło przy czwartym podejściu, bo wcześniej radni spierali się, czy to ma sens, skoro „nikt nie wie, kim był Roch". Po uchwale jeden z radnych wrzucił na Facebooka mem z psem – bo św. Roch to patron psów – podpisany: „Mamy swojego!".

W Malborku uchwałę o ustanowieniu Najświętszej Maryi Panny patronką ogłoszono 8 grudnia 2023 r. Proces zaczął się wcześniej, ale decyzję przyspieszono, gdy burmistrz usłyszał, że „Matka Boża lepsza niż żaden plan rewitalizacji". Zatwierdzenie przyszło z Watykanu jak list od ciotki z Ameryki – z opóźnieniem.

W Nasielsku w 2008 r. na patrona wybrano św. Wojciecha. Pomysł rzucił przewodniczący rady, który na sesji powiedział: „Wojciech nie odmówi, w przeciwieństwie do inwestorów".

Zatwierdzenie przez papieża przyszło rok później. Obchody przypominały jarmark świętojański, ale z nutką sakralną.

Czechowice-Dziedzice postawiły na św. Andrzeja Bobolę w 1999 r. Inicjatywa pochodziła od młodzieży z KSM. Zatwierdzenie? Watykan odpowiedział szybko, a miasto po dziś dzień szczyci się jednym z najkrótszych dekretów papieskich w historii patronatów.

30 grudnia 2019 r. Rada Miejska Kalwarii Zebrzydowskiej jednogłośnie przyjęła uchwałę ustanawiającą św. Jana Pawła II patronem miasta. Pomysł wyszedł z lokalnego stowarzyszenia patriotycznego, a decyzja była niemal rytualna – miasto, z którym Karol Wojtyła był związany od dziecka, nie potrzebowało innego kandydata. Proces formalny poprowadzono według znanej ścieżki: uchwała, wniosek do metropolity i do Watykanu. Żadnych protestów, żadnych cieni.

W Kraśniku sprawy potoczyły się jeszcze wcześniej. Choć dokładna data uchwały bywa trudna do ustalenia, to wiadomo, że w 2018 r. Kongregacja ds. Kultu Bożego zatwierdziła patronat Matki Bożej Kraśnickiej. Obchody odbyły się z pompą: były uroczyste koronacje, kazania, pochwały i atmosfera świątecznej euforii. Wspólnota religijna była zachwycona, a świecka – nie miała nic przeciwko. Modelowa symbioza.

Święty na obraz i podobieństwo

Rada Miejska Łodzi przyjęła uchwałę o ustanowieniu św. Faustyny Kowalskiej patronką miasta 13 lipca 2005 r. Inicjatywa wyszła od radnych i środowisk religijnych. Choć w Kościele zapanowała entuzjastyczna aprobata, w środowiskach świeckich pojawiły się pytania: czy metropolia przemysłowa i wielowyznaniowa potrzebuje świętej patronki? Debata była rzeczowa, nieantagonistyczna. Ostatecznie Faustyna została – bez huku, ale też bez sprzeciwu.

29 czerwca 2011 r. radni Ornontowic zagłosowali za ustanowieniem św. Michała Archanioła patronem gminy. Wniosek zgłosiła jedna z radnych. Kongregacja zatwierdziła wybór w grudniu tego samego roku. Uroczystość odbyła się 29 września 2012 – i od tego czasu odpust stał się lokalną tradycją. Entuzjazm? Obecny. Opozycja? Nie stwierdzono.

Gmina Serock podjęła uchwałę w 2015 r. – radni działali wspólnie z parafią. Święty Wojciech stał się oficjalnym patronem, a dzień jego wspomnienia – lokalnym świętem. Choć wydarzenie miało charakter religijny, nie wzbudziło świeckiego niepokoju. Było typowym przykładem harmonii między samorządem a duchowieństwem.

28 listopada 2008 r. Rada Miejska Bytowa, przy wsparciu duchowieństwa i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, ustanowiła św. Katarzynę Aleksandryjską patronką miasta. Uroczystość z udziałem nuncjusza apostolskiego nadała całości rangę niemal państwową. Lokalne media nie szczędziły słów dumy, a nikt nie próbował tego kwestionować.

I wreszcie Dubiecko. Tu w 2021 r. złożono uchwałę o patronacie św. Mikołaja. Burmistrz mówił, że „to święty, który wie, jak się rozdaje". Kuria zaakceptowała, mieszkańcy czekali na zgodę z Rzymu, a szkoła podstawowa zaczęła wieszać portrety Mikołaja w każdej klasie. Doczekali.

Nie wszędzie jednak. W Ostrzeszowie próba ustanowienia św. Stanisława patronem miasta została odrzucona po gorącej debacie. W Częstochowie pomysł intronizacji Maryi odrzucono po burzy medialnej. W Gdańsku nie zgodzono się na św. Wojciecha jako patrona miasta, bo – jak tłumaczyła prezydentka Aleksandra Dulkiewicz – „Gdańsk nie potrzebuje duchowego monarchy, ma wystarczająco świecki kręgosłup".

To jednak tylko wypadki przy uświęcającej twórczości, bo XXI w. w Polsce okazuje się czasem sakralnych uniesień. Z Królestwem Niebieskim, wywalczonym uchwałą. Tylko czy w tej niebiańskiej krainie znajdzie się miejsce na ośrodek zdrowia, drogę gminną i salę gimnastyczną? Jeśli nie – pozostaje modlitwa. I kolejna uchwała. Nad którą unosi się od lat retoryczne pytanie prof. Moniki Płatek: „Czy ktoś naprawdę wierzy, że patronat świętego naprawi chodnik?".

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Nie ma prawdziwej godności ludzkiej ani poszanowania życia ludzkiego bez poszanowania Stwórcy, którym jest Bóg.*** *(…) W przeciwnym razie osoba pozostaje sama i w pustce ze sobą, gdzie wszystko wydaje się możliwe i dozwolone w świecie bez ograniczeń, sprzyjającym niespójnościom, wobec których wykazuje się pobłażliwością.*

kard. Robert Sarah, homilia, Warszawa, 12 września

■ ***Wiele jest dyskusji i złośliwości o lekcjach religii i smutne jest to, że w tych kwestiach decydują często osoby, które są ateistami i działaczami lewicy, a zatem spadkobiercami tych, co nam wolność kradli.*** *Powstała też kwestia nowego przedmiotu, tak zwanej edukacji zdrowotnej, pod którego płaszczykiem chce się przepychać do dzieci i młodzieży także tematy wulgarne, nieprawdziwe, schizofreniczną ideologię lewackiego środowiska europejskiego, gdzie się nie mówi „białe to białe, a „czarne to czarne", lecz najlepiej jakby wszystko było tęczowe.*

abp. Jan Romero Pawłowski, homilia, Sejny, 7 września

■ *Edukacja zdrowotna to przedmiot, na który olbrzymi wpływ ma światopogląd prowadzącego.* ***Seksualność to sfera, która jest uwarunkowana wyznawaną przez siebie antropologią. Obawy katolików jak najbardziej słuszne. Świat nauczycieli to w większości ludzie o lewoskrętnej filozofii.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 4 września

■ *Często pojawiającym się w dokumencie o podstawach programowych „edukacji zdrowotnej" modnym słowem, powtarzanym w kilku miejscach jest „dobrostan psychiczny i emocjonalny". Jeszcze do niedawna dobrostan odnosił się do zasad hodowli zwierząt.* ***Wszystkie te kroki mają sprawić, że polska szkoła zatraci charakter narodowy, a wychowanie będzie odcięte nie tylko od polskiej, ale i europejskiej tradycji humanistycznej. Służy temu „edukacja zdrowotna" i likwidacja wychowania do życia w rodzinie, ale też „edukacja obywatelska (…) ograniczenie i marginalizacja, czyli faktycznie likwidacja religii (…). To program degradacji rozumu i sumienia, a nobilitacja emocji i dobrego samopoczucia, a także wpojenie przekonania, że seks to zdrowie.***

prof. Antoni Buchała, prezes Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców, opoka.org.pl, 8 września

KLECHA

Paryska kultura gwałtu

Polska też ma swojego drapieżnika, choć na gościnnych występach we Francji.

Ksiądz Eugeniusz Plater-Syberg ma 91 lat i wiele dokonań na koncie, ale nie wszystkimi lubi się chwalić. Kapłańska skromność każe mu pomijać epizody molestowania uczniów Niższego Seminarium Duchownego w Paryżu, gdzie przez prawie 20 lat był wychowawcą. Uczyli się tam polscy chłopcy, a ksiądz rektor zgotował im prawdziwą szkołę życia. Dwóch popełniło samobójstwo, kolejny był blisko.

W polskich mediach sprawę jako pierwsza podjęła w lipcu „Polityka". Ks. Plater do popełnienia niecnych czynów przyznał się już w 2011 r., na spotkaniu absolwentów szkoły w hotelu pod Paryżem. Dorośli już mężczyźni zebrali się w sobie i postanowili skonfrontować duchownego z jego i ich przeszłością, które przecięły się w traumatyczny sposób. Plater zniknął ze szkoły w 1985 r., zatem sporo wody w Sekwanie upłynęło, zanim jego ofiary dojrzały do konfrontacji.

„Żyję z codziennymi wyrzutami sumienia. Oskarżenia przeciwko mnie są słuszne. Uznaję je. Popełniłem przestępstwa. Uznaję swoją winę" – mówił drapieżnik na spotkaniu z wychowankami, a oni to nagrali.

Jednocześnie rozmywał ciężar swojej winy: tłumaczył, że się wyspowiadał, powiedział biskupowi, części rzeczy nie pamięta, a tak w ogóle to jest chory na serce i kardiolog zakazał mu się denerwować, więc niech go nie gnębią.

Teraz także przyznał się, że się przyznał, w wywiadzie dla lokalnego radia. Zapytany, czy mówił o tym komuś wcześniej, odpowiedział: „Tak, mojemu ówczesnemu biskupowi. Potem rozmawiałem o tym z moimi byłymi uczniami, którzy przyszli do mnie. Spotkanie odbyło się w Sens".

W 1985 r. Plater-Syberg został cichcem usunięty z liceum i przeniesiony do podparyskiej parafii, gdzie proboszczował. Nikt go nie rozliczał z molestowania, wręcz przeciwnie – sypały się nań ordery i odznaczenia. Order Polonia Restituta, nagroda „Wybitny Polak we Francji", Medal Wdzięczności przyznany przez Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, Medal „Pro Polonia et Ecclesia" od polskiego episkopatu za dobrą robotę dla emigrantów. Czternaście jego ofiar naliczyła póki co Niezależna Agencja ds. Uznawania i Zadośćuczynienia, którą finansuje francuski Kościół. No i tu – jak to zawsze w takich przypadkach – zaczynają się schody. Bo ksiądz z Polski, dzieciaki z Polski, więc pojawia się pytanie, kto powinien bulić. „Musimy wyjaśnić, czy seminarium i księża, którzy tam przebywali w ramach polskiej misji w Paryżu, podlegali Kościołowi francuskiemu" – zapowiada przewodnicząca agencji.

Czymże byłaby opowieść o polskim księdzu z drugiej połowy XX w. bez Jana Pawła II? Ksiądz Plater – arystokrata z pochodzenia i asceta z wyboru – cieszył się przyjaźnią najważniejszych hierarchów kościelnych. „W biografiach księdza arystokraty, poświęconych jego działalności na rzecz Solidarności, wątek pochodzenia zwykle budzi podziw. Z pałaców dzisiejszej Ukrainy, przez Syberię, aż do Francji. Z arystokratycznej rodziny do prostego księżowskiego pokoju, w którym jest miejsce tylko na biurko i półkę książek. Szacunek budzić też będzie jego przyjaźń z prymasem Glempem i kardynałem Wyszyńskim oraz serdeczna, koleżeńska relacja z papieżem" – piszą autorki „Polityki". Jak znamy życie to, Wojtyła nic nie wiedział, a Dziwisz nie pamięta człowieka.

Cudze ganimy, swego nie znamy. Polscy księża jeszcze nie raz nas zaskoczą. Na stronie internetowej TVP Polonia do dziś wisi materiał o Plater-Sybergu zatytułowany „Ambasador polskości". Tusk ze swoim „polskość to nienormalność" przypadkiem trafił w sedno.

MK

eprasa.pl 066e1a5323

Biskupi znów szczekają

ETYKA BEZBOŻNA

A przez chwilę było cicho...

Był tak jeden prymas, dosyć w sumie sympatyczny, który na krytykę Kościoła odpowiadał: „Pieski szczekają, a karawana jedzie dalej”. Miało to miejsce w wczasach, gdy nad Polską niczym smog wisiał ponury kult Karola Wojtyły, a urzędnicy – od premiera po kancelistę – wili się przed biskupami, odgadując ich życzenia, zanim zostaną wypowiedziane. Lęk przez Kościołem i „ludem bożym” był tak wielki, że państwo broniło się przed tym wyimaginowanym monstrum za pomocą barykad usypanych z pieniędzy.

Te haniebne czasy niby się już skończyły, a watykańscy biskupi ostatnio siedzą raczej cicho, przesypując polskie złoto w swoich skarbczykach i czekając na lepsze czasy. Zdawało się, że nie w głowie im teraz kampanie nienawiści skierowane przeciwko wszystkiemu, co nieposłuszne katolickiej władzy. Aż tu nagle… Coś im się przypomniało i ni z gruszki, ni z pietruszki rozpętali wojnę z MEN w sprawie nowego przedmiotu edukacja zdrowotna. Reprezentanci obcego państwa, przysięgający na wierność i posłuszeństwo jego monarsze, śmią wzywać polskich obywateli do nieposyłania dzieci na lekcje organizowane przez suwerenny polski rząd, i to w dodatku powołując się na konstytucję! Rzecz jasna, chodzi im o to, że jednym z tematów poruszanych na tych lekcjach ma być dojrzewanie płciowe oraz zdrowie seksualne. Kościół od wieków żyje seksualnymi obsesjami, których efektem była do niedawna jakaś groteskowa pruderia, a obecnie równie absurdalne roszczenia do monopolu w dziedzinie uczenia dzieci i dorosłych o seksie.

Jakim prawem Kościół się w ogóle do tego wtrąca? Lękliwy dość polski rząd zreformował przedmiot Wychowanie do życia w rodzinie, oferując od tego roku edukację zdrowotną, gdzie w porównaniu z wcześniejszym programem będzie więcej o zdrowym stylu życia, prawidłowym odżywianiu się oraz o sprawach związanych z seksualnością i prokreacją. Jest to niezbędne w czasach, gdy dzieci epatowane są pornografią i narażone na fałszywe bądź demoralizujące treści, których pełno jest w internecie. Trzeba młodych ludzi uodpornić, a jednocześnie nauczyć odpowiedzialności seksualnej. Dla ich dobra, a także po to, by jak najmniej było niepożądanych ciąż i aborcji.

Kościół ma jednak sprawę aborcji głęboko w pompce. Nigdy nie zależało mu na podejmowaniu realnych środków, dzięki którym aborcji byłoby mniej, a wręcz te dobrze znane i sprawdzone środki – na czele z edukacją seksualną i dostępem do taniej antykoncepcji – zaciekle zwalczał. Kościołowi nie zależy bowiem na zarodkach, lecz na zakazie aborcji jako takim, albowiem zakaz taki odzwierciedla w prawie świeckim jego religijną ideologię, potwierdzając tym samym jego wpływy polityczne.

Wydawało się, że wreszcie możemy dać sobie spokój ze zwalczaniem rozbisurmanionego Kościoła i jego paskudnej ideologii, bo – jako się rzekło – ostatnio siedział cicho, nie pyskował za bardzo, a ludzie coraz mniej licznie odwiedzają jego przybytki. Aż tu nagle ni z tego, ni z owego, rozszczekał się jak obudzony w środku nocy stary kundel, by nawiązać do retoryki pana Gulbinowicza. Trzeba więc świętym panom odpowiedzieć.

Otóż powoływanie się na konstytucję i twierdzenie o jej rzekomym łamaniu przez MEN jest bezczelnym absurdem.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Edukacja zdrowotna nie jest przedmiotem obowiązkowym (chociaż powinna nim być) i nikt tu do niczego nie jest zmuszany. W programie nie ma żadnych treści niekonstytucyjnych, czyli sprzecznych z takimi wartościami, jak wolność, równość, niedyskryminowanie. Niekonstytucyjne jest natomiast opłacanie przez państwo szkolnych lekcji religii, albowiem jasno napisane jest w konstytucji, że państwo polskie jest neutralne w sprawach religii i światopoglądu. Z jakiej więc racji ma łożyć na upowszechnianie poglądów, odnośnie do których nie ma i nie może powziąć opinii, czy są prawdziwe? Państwo płacić ma za to, co dobre i pożyteczne – a przecież bynajmniej nic nie wie o tym, że pożyteczny i dobry jest katolicyzm, nie mówiąc już o tym, że nie może wspierać jego dogmatów.

Ba, obecność religii katolickiej w szkole jest konstytucyjnie nielegalna także z tego powodu, że uniemożliwia państwu zachowanie neutralności. Pojawia się bowiem sprzeczność między nakazaną przez konstytucję neutralnością a obowiązkiem dbania przez władze publiczne o to, żeby wszystkie treści nauczane w publicznych szkołach były zgodne z aksjologią polskiej konstytucji. Tymczasem na lekcjach religii uczy się niemoralnych i jawnie sprzecznych z konstytucją treści, na czele z przekonaniem, że osoby ochrzczone stoją wyżej egzystencjalnie od nieochrzczonych, albowiem posiadają specjalne cnoty i nadzieję zbawienia, na które liczyć nie mogą ci, którzy chrześcijaństwo odrzucili. To wstrętna, przepojona pychą i dyskryminacyjna doktryna, a jednak państwo nie tylko toleruje jej nauczanie, lecz w dodatku za nie płaci.

No i wreszcie ten ulubiony przez panów biskupów seks.

To nie państwo „seksualizuje” dzieci, lecz Kościół, który pieprzy jakieś androny o świętym dziewictwie i „niepokalaniu”, suflując dziewczynkom, że będą przez seks „pokalane”, a siedmiolatków epatuje zakazem „cudzołożenia”,

zmuszając te małe dzieci do rozmyślania o seksie i zdradzie małżeńskiej. Mają też księża wiele do powiedzenia o gejach, którzy to mają się „powstrzymywać od grzesznych praktyk” i w ogóle są na bakier z „prawem naturalnym”. Wszystko to są szkodliwe dla dzieci, perwersyjne i niemoralne treści, na które państwo musi reagować. Dokładnie z tego powodu, dla którego – zdaniem biskupów – nie powinno się posyłać dzieci na edukację zdrowotną, nie należy ich posyłać na perwersyjne lekcje religii. Dość tej hucpy, panowie biskupi. Szczekacie, szczekacie i się doigracie!

JAN HARTMAN

Rupnik swoje

Kolega Franciszka doczekał się ekranizacji

Obrodziło filmami o przestępcach w sutannach. Dopiero co opisywaliśmy serial o Marcialu Macielu, a tymczasem podczas festiwalu filmowego w Toronto pokazano film „Zakonnice kontra Watykan” w reżyserii Loreny Luciano. Film opowiada o tym, co zapowiada tytuł: o siostrzyczkach w nierównej walce z kierownictwem Kościoła kat.

Trójca święta z penetracją

Reżyserka skupiła się na historiach Glorii Branciani i Mirjam Kovac, które były wykorzystywane przez byłego jezuitę Marko Rupnika ze Słowenii – artystę tworzącego religijne mozaiki dla największych sanktuariów świata, w tym dla krakowskiego miejsca pamięci o Wojtyle czy dla bazyliki w Lourdes. Rupnik funkcjonował bezkarnie przez kilkadziesiąt lat, a przyjaźnią darzyli go papieże, zwłaszcza Franciszek, który wywodzi się z tego samego zakonu.

Dziś już kilkadziesiąt osób twierdzi, że były wykorzystywane przez Rupnika. Nie tylko seksualnie – stworzył on grupę zdolnych ludzi, którzy pracowali dla niego za Bóg zapłać, podczas gdy on za swoje projekty brał miliony. Zamówień miał tyle, że sam by nie ogarnął, ale do płacenia pomocnikom się nie kwapił. Założył zakonną Wspólnotę Loyola i naganiał kolejne sztuki do swojego haremu, łączącego przyjemne z pożytecznym (dla jego portfela).

Rupnik był gwiazdą sztuki katolickiej. Oprócz wykonywania naściennych malunków pisał też uduchowione książki, głosił rekolekcje i wykłady, rozchwytywany był na całym świecie. Franciszek zaprosił go do wygłoszenia rekolekcji dla Kurii Rzymskiej i jego samego w roku 2020. Potem okazało się, że

głosząc rekolekcje dla papieża, Rupnik był prawdopodobnie obłożony ekskomuniką, czyli wyrzucony z Kościoła. Bergoglio zdjął z kolegi ekskomunikę w maju, a rekolekcje były w marcu. Powód ekskomuniki: zakonnik rozgrzeszył kobietę z seksu,

który z nią uprawiał

– co jest jednym z najcięższych grzechów dla księdza. Rupnik podobno lubował się w wysłuchiwaniu o swoich baraszkach przez kraty konfesjonału i rozgrzeszaniu z nich, nie gardził też seksem grupowym w gronie podległych mu mniszek. Seks w trójkącie porównywał do relacji panującej w Trójcy Świętej, co relacjonuje jedna z bohaterek filmu „Zakonnice kontra Watykan”. Jednak co artysta, to artysta.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Przyjaciel w biedzie

Machinacje z ekskomuniką wyszły na jaw w 2022 r. Nie dało się dłużej ukrywać, że coś jest na rzeczy. Władze zakonu jezuitów nakazały mu wstrzemięźliwość, do której nie był przyzwyczajony. Miał zamknąć mordę i rozporek, ale życie w ascezie nie dla niego. Jako wzięty artysta dysponował takimi pieniędzmi, że nawet generał jezuitów gówno mógł mu zrobić.

Zwłaszcza że Rupnik nie wypadł nigdy z łask papieża Franciszka, który przymykał oko na jego swawole. W czerwcu 2023 r. został wydalony z zakonu, od czego się nie odwoływał. Ale od czego są przyjaciele? Już w październiku został przyjęty do jednej ze słoweńskich diecezji, czyli nadal jest pełnoprawnym duchownym. Na pewno film nie przysłuży mu się w karierze, ale nic nie wskazuje na to, aby miał mu specjalnie zaszkodzić. Zresztą, czy jakakolwiek publikacja ma przełożenie na kościelną politykę wobec znarowionego kleru?

Tak to już z tym Franciszkiem było: mówił dużo i ładnie, ale w praniu co rusz wychodziły brudy. Bergoglio w swojej polityce często kierował się kluczem towarzyskim – jego kumple zawsze mogli liczyć na łagodniejsze traktowanie. Nielubianych wycinał bez mrugnięcia okiem: potrafił ważnym urzędnikom komunikować, że od dziś nie pracują. Sprzymierzeńcom odpuszczał wiele. Marko Rupnik to jeden z takich przykładów. Ale nie tylko on.

Bob sprzątający

W ramach sprzątania po argentyńskim papieżu Leon XIV wyrzucił z Rzymu Gustava Zanchettę – bliskiego współpracownika kardynała Bergoglio przed wyborem na szefa Kościoła kat. Po konklawe w 2013 r. kumpel szybko awansował: został biskupem w Oranie, gdzie miał nieskrępowany dostęp do świeżego kleryckiego mięsa, w którym gustuje. W 2019 r. uciekł z Argentyny, a Franciszek utworzył dla niego specjalny etat w watykańskim dziale finansowym. W 2022 r. okazało się, że do Rzymu uciekł przed wymiarem sprawiedliwości: dostał 4,5 roku za molestowanie seminarzystów. Wrócił na chwilę do kraju, posiedział cztery miesiące, po czym znowu poleciał do Rzymu, żeby się podleczyć w papieskiej poliklinice Gemelli. Bergoglio załatwił mu paszport dyplomatyczny i czuł się bezpiecznie. Eldorado skończyło się w 2025 r. – nowy papież wyrzucił Zanchettę z Watykanu i znowu pierdzi w argentyński pasiak.

Podobno nowy papież ma się wziąć też za Rupnika. Na razie wykonał ruch zgoła symboliczny: z nowej wersji oficjalnej strony Watykanu zniknęły grafiki z mozaikami byłego jezuity. O ten symbol apelowały zakonnice skrzywdzone przez kolegę poprzedniego papieża. Ładny, nic niekosztujący gest. Mozaiki zniknęły, Rupnik nie.

Każdy papież sprząta po poprzedniku, a na wysprzątane salony Pałacu Apostolskiego wprowadza swoich. Nie lękajcie się: jego świątobliwość Bob z Chicago ma zapewne grono barwnych kumpli, o których dopiero usłyszymy.

MATT KOBOSKO

REKLAMA



eprasa.pl 066e1a5323

Chrzest w Wypizdowie

Pochwała filmu „Teściowie 3”



Ilustr. PAWEŁ FERENC

O obecnej Polsce można powiedzieć słowami piosenki Kultu sprzed lat: „mój dom murem podzielony”, „prawa strona nigdy nie zasypia, lewa strona nigdy się nie budzi”. Poziom wrogości, z jakim się spotykamy, gdy trafimy na kogoś, kto się z nami nie zgadza, przypomina relacje w jakichś afrykańskich państwach, w których różne plemiona ostrzą maczety, by rzucić się sobie do gardła. W gruncie rzeczy to czyste szaleństwo.

„Teściowie 3” w reżyserii Jakuba Michalczuka to satyryczna migawka z naszego kraju, gdzie rządzi pieniądz – cichy bohater filmu, subtelnie sterujący falą wydarzeń. Komedia w przekonujący sposób szkicuje granice, które nas dzielą; nie są abstrakcyjne, bo ostatecznie przy niektórych okazjach człowiek, chcąc nie chcąc, styka się z ludźmi spoza swojej bańki. Sztuka dialogu nie jest czymś, w czym zacietrzewieni Polacy byliby szczególnie biegli, a może po prostu nie interesuje ich rozmowa, chyba że są nastukani jak messerschmitty. A wtedy, zwłaszcza faceci, mają iście ułańską fantazję i przychodzą im do głowy głupie pomysły. Inna rzecz, że nie słyszałam, żeby po bimbrze ktokolwiek wpadł na jakiś sensowny koncept…

Chrzciny niezgody

Akcja „Teściów 3” ogniskuje się wokół przygotowań do chrztu wnuka tytułowych teściów. Rzecz dzieje się na prowincji, w końcu – co widać po wyniku wyborów prezydenckich – prawdziwe serce Rzeczypospolitej nie bije w Warszawie czy innych aglomeracjach, lecz w tych wszystkich nieszczęsnych Końskich i Wypizdowach Górnych.

Film skrzy się dowcipem, czasem na wskroś złośliwym, ale równie często – a może i częściej – pogodnym i rozumiejącym ludzkie słabości. Autor scenariusza Marek Modzelewski w zręczny sposób nakreślił obraz zderzenia wielkomiejskiego sznytu ucieleśnianego przez Małgorzatę Wilk (kapitalna Maja Ostaszewska) i psychiatrkę Grażynę (grająca na granicy przegięcia Magdalena Popławska) z mentalnością prowincji, którą reprezentują Chrapkowie: Wanda (Izabela Kuna) i Tadeusz (kapitalny Adam Woronowicz). Wolnym elektronem jest Andrzej Wilk (Marcin Dorociński), który stara się po prostu jakoś ze wszystkimi dogadać. Chłop spokorniał.

Źródło sukcesu „Teściów 3” tkwi w subtelnej dialektyce anarchicznej krytyki wszystkiego i wszystkich,

z dobrotliwą wyrozumiałością dla człowieka, śmiesznego chwilami, czasem żałosnego, lecz próbującego jakoś przeżyć na tym padole łez i rozpaczy. Film jest otwarty na rozmaite interpretacje, lecz dla mnie jest wołaniem, aby nie kisić się we własnym sosie, próbować pojąć, co się dzieje poza naszym środowiskiem. I podchodzić do siebie i innych ze zdrowym dystansem, aby nie zwariować i nie dać najmniejszej szansy wykiełkować ziarnu nienawiści wobec wszystkiego, co inne.

Ludzka twarz kleru

Tu pokuszę się o wycieczkę osobistą. Jestem ateistką od przynajmniej ćwierć wieku. Lecz ojciec mojej córki to osoba nader pobożna, swego czasu zaangażowana w pewną przykościelną inicjatywę. Pamiętam chrzciny mojej córki – w jakimś stopniu wymuszone przez moich teściów, dla których pomysł, że ich jedyna wnuczka nie będzie ochrzczona, był szokujący. W końcu to mała Polka, a nie jakaś Żydówka czy inna komunistka. Pamiętam doskonale, jak za pierwszym razem powiedziałam proboszczowi, że jestem niewierząca (co po latach oceniam jako idiotyczne) i usłyszałam, że nie będę mogła trzymać dziecka do chrztu i mam stać gdzieś z tyłu kościoła. Poszłam po rozum do głowy i na kolejnym spotkaniu nic nie mówiłam o moim ateizmie, więc spotkanie przebiegło w miłej atmosferze i okazało się, że nie ma najmniejszego problemu, bym trzymała własne dziecko.

Powyższa sytuacja przypomniała mi się, gdy postać grana przez Woronowicza opowiadała przy stole, że choć ksiądz początkowo kręcił głową, że rodzice dziecka nie mają ślubu kościelnego, ale jak się posmarowało właściwie, problem magicznie zniknął… Co z kolei prowadzi do stwierdzenia, że wielkomiejskie elity błędnie zakładają, że na prowincji ksiądz jest bożkiem. Nie jest. Jakiś czas temu mój pobożny ojciec z rozbawieniem opowiadał mi, że cała wieś huczy, że zazdrosny mąż gonił po lesie jurnego proboszcza, z którym puszczała się jego żona.

Każdemu według potrzeb

Jak wiadomo, socjalizm to system, w którym każdy dostaje według potrzeb i od każdego oczekuje się według możliwości. W „Teściach 3” dostaje się wszystkim, i to dość sprawiedliwie, bez przechyłu w żadną stronę.

Nie ma litości dla stołecznych elit mających się za coś lepszego od normalsów, choć ich rzeczywistość jest przesiąknięta dziwactwami. Drugoplanowa Grażyna obiecuje, że jak niemowlę trochę podrośnie, to mu zrobi darmową diagnozę pod kątem spektrum autyzmu, w końcu teraz co drugie dziecko jest w spektrum. Wścieka się, gdy Andrzej Wilk odrzuca jej jednoznaczną propozycję, aby się ruchali, choćby w pobliskim kiblu. Daje Małgorzacie psychotropy jak pastylki miętowe i nakłania ją, aby pogłaskała swoje wewnętrzne dziecko.

Ostaszewska jest bardzo wiarygodna, gdy przekonuje, żeby mieszkający w Berlinie syn i jego partnerka mówili do swego potomka po niemiecku, a nie polsku, aby dziecko wyrosło na prawdziwego Europejczyka. Albo gdy nastaje, aby obok medalika wnuk nosił na szyi pogański symbol szczęścia.

W Polsce powiatowej wszystko jest na skalę powiatową, włącznie ze zdradami i problemami rodzinnymi. Bo co ma zrobić mąż Tadek, który po trzech dekadach małżeństwa zostaje rogaczem, a jednak kocha żonę? Jak się zachować w tej sytuacji? Co można zrobić, poza dołowaniem się? Można dać w końcu kochankowi w mordę, co zresztą się zdarza.

„Teściowie 3” to też film o skomplikowanych relacjach rodzinnych, a rodzina – wedle pamiętnej formuły Christophera Lascha – jest obecnie przystanią w bezdusznym świecie. O tym, że z bliskimi często łączą nas bardzo skomplikowane relacje, będące niekiedy mieszaniną miłości i nienawiści, na co Niemcy mają zgrabne określenie: Hassenliebe. Najbliżsi zadają nam największe rany, ale nieraz zaspokajają nasze potrzeby psychiczne, włącznie z potrzebą bliskości.

Kapitalne są dialogi, w których skrzy się od komizmu. Nawet jeśli postaci są naszkicowane grubą kreską, nigdy nie są to manekiny przypisane do danej roli. Widz może je zrozumieć, a nawet żywić wobec nich sympatię, w końcu podobnych ludzi znajdujemy w naszym otoczeniu, a może trochę sami tacy jesteśmy. I dobrze byłoby się jakoś dogadać, porozumieć ponad podziałami.

Jak naucza refren kultowego kawałka Kabaretu Starszych Panów: „Rodzina, rodzina, rodzina, ach rodzina… Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest, lecz kiedy jej ni ma, samotnyś jak pies”.

ZUZ

Mielonka czyli szoł&biznes

☛ Magda Cielecka, aktorka, udowodniła, że ładnemu to we wszystkim ładnie. Czołówki gazet i portali obleciało jej zdjęcie z czarną przepaską na oczach. Magda C. została oskarżona o nielegalną promocję alkoholu. Sprawę prowadzi prokurator Piotr Skiba. „Przestępstwa te należą do kategorii umyślnych, co czyni sprawę szczególnie poważną” – powiedział on w rozmowie z Pudelkiem. Nie wiem, co miał na myśli, ale wiem, że skoro prokuratorzy RP rozmawiają z dziennikarzami Pudelka, to zdecydowanie idzie nowe.

☛ Na ławie oskarżonych Magdzie C. będzie towarzyszył Boguś Linda, przepraszam, od 18 sierpnia Bogusław L. Zawód: aktor. Specjalizacja: Franz Maurer. I jak to było w „Psach”? „Wy wszyscy jesteście pojebani. Was nie można sądzić, was trzeba leczyć”. Ups, to była kwestia Pazury, czyli podporucznika Waldzia, a nie Maurera. Powraca do mnie, ponieważ mam wrażenie, iż zauważenie to dotyczy coraz większej liczby rodaków… Trwa lansiarska biegunka przypierdalania się do wszystkich i o wszystko. Koniecznie z udziałem policji i prokuratury. Salud!

☛ Powyższa pełnoobjawowa choroba rozwinęła się u skądinąd sympatycznego Piotra Śpiewaka, zawód: aktywista. Zapisał on na X: „Upadłym celebrytom grozi po pół miliona grzywny. Sprawa przełomowa, bo na ławie oskarżonych znajdzie się też zarząd Stocka, który zlecał przestępstwa. Sprawy toczą się z mojego zawiadomienia”. W sumie to ja bym uważała, upadki, jak i sraczka, też bywają zaraźliwe. Trzeba dobrze myć ręce! Po każdym donosie.

☛ Po Stocku rzygam. Ciekawe, z jakim kacem obudził się Łukasz Schreiber, zawód polityk, który w ostatni dzień wakacji po raz trzeci został mężusiem. Do trzech razy sztuka. Nową wybranką polityka stała się Weronika Reiter. Można o niej powiedzieć, że wygląda miło, a to już coś. Łukasz Schreiber będzie miał mniejszego kaca, jeśli będzie jak zarazy unikał konfrontowania się z Marianną Schreiber. O tyle trudne, że para już nie jest parą – pozostał smród i córka.

☛ Marianna Schreiber – zawód artystka muzyczna (???) – złożyła gratulacje eksowi na platformie X. „Mój były mąż dziś strzelił hat-tricka. Wziął trzeci ślub. Ten reprezentant prawicowej partii politycznej ma duży ciąg na bramkę i jestem przekonana, że to nie jest ostatni raz, kiedy powiedział »tak« w urzędzie stanu cywilnego”. Tym goręcej życzę Łukaszowi Schreiberowi lekkiej i czystej głowy. I rzecz jasna: mazel tow!

IZABELA SZOLC

Dwa i pół kilo ulgi

Urodziny Likwidatora

Superbohater komiksów Dąbrowskiego śmieszy, tumani i przestrasza, ale działa też jak najlepszy psychoterapeuta. Już od 30 lat.

Prawicowy publicysta i literat PSF (psycho-science fiction) Rafał Ziemkiewicz zdumiał się rok temu w tygodniku „Do Rzeczy”, że komiksy, których akcja zazwyczaj polega na polowaniu na prawicowych polityków, dziennikarzy, historyków, generałów i księży oraz ich krwawych egzekucjach, są „w Polsce wydawane i zupełnie legalnie sprzedawane”. I że Ryszard Dąbrowski, autor komiksów o Likwidatorze, nawołuje do przemocy, pragnąc jak niczego innego na świecie porachowania kości reprezentantom polskiej prawicy.



Ziemkiewicz udaje tylko takie święte oburzenie, bo przecież nie może nie widzieć uzdrawiającej funkcji takich dzieł jak obrazkowe przygody Likwidatora. Zamiast ronić krokodyle łzy nad tym, że Dąbrowski piórkiem i węglem seryjnie morduje takie istoty jak Kaczyński, Duda i Macierewicz, publicysta „Do Rzeczy” powinien podziękować za terapeutyczną funkcję tych okropnych zbrodni. Jako i ja dziękuję.

• • •

Likwidator urodził się 30 lat temu w skórze superbohatera walczącego o poprawę środowiska naturalnego, zwalczającego tych, którzy niszczą przyrodę: myśliwych, bezmyślnych turystów, deweloperów i trucicieli reprezentujących kapitał i przemysł. Superbohater zakładał kominiarkę ze sztucznym uśmiechem i czarny trykot, a potem za pomocą pistoletu maszynowego Schmeisser robił porządek na ginącej planecie.

Dość szybko Dąbrowski i bohater jego ekokomiksów przekonali się, że żywiołem równie niszczycielskim i niebezpiecznym jak destruktorzy przyrody są politycy, zwłaszcza prawicowi. Pięść sprawiedliwości Likwidatora nie mogła ich nie dosięgnąć. Zaczęła się jatka.

Gość w czarnym kostiumie nie pierdolił się w tańcu: jak już się zawziął na postać w typie Beaty Szydło czy Tadeusza Rydzyka, to nie spoczął, dopóki nie rozwalił szczęki wiedźmy z Przecieszyna lub nie ściął serią sukinsyna z Torunia.

Trrrach! Łuuup! Pizd! Łubudu! Pierdut! I najlepsza onomatopeja: Du-du-du-du-du! – ciągły ogień maszynowy.

• • •

Tytuł zeszytu: „Prawda smoleńska”. Smoleńska prawda Dąbrowskiego. Samolot spada, ale nie wszyscy pasażerowie giną, ocalałych wita premier Putin i prowadzi ich do lasu jak w Katyniu. Jednak to nie ruscy żołnierze są egzekutorami, lecz gość w kominiarce. Najpierw każe członkom polskiej i rosyjskiej delegacji wykopać dół, a potem trach, trach! Putin i Kaczyński (Lech) do piachu!

Albo inny zeszyt: „Likwidator i ekofoby”. Na okładce dość nietypowy skład desek: Trump i Korwin-Mikke, Musk i Rachoń, Sakiewicz i Bąkiewicz, Jaki i Zajączkowska-Hernik. A między okładkami taka np. akcja: Ziobro i Obajtek idą przez las, każdy ma w ręku walizkę z pieniędzmi. Niosą je Stanowskiemu, który wychodzi zza krzaków i szczerzy się: „Kurczę, gotówka to moja miłość… Żadnych jebanych śladów, żadnych pierdolonych dowodów, he, he…”. Na szczęście podczas finalizowania transakcji pojawia się Likwidator. Trach, trach! – Ziobro i Obajtek z kulami w łbach. Trach! – także Stanowski kończy w kałuży krwi.

• • •

Szczególnie chętnie Likwidator poluje na katoprawicowych publicystów (Cejrowski, Wildstein, Ziemkiewicz), na nacjonalistycznych historyków (Bartosiak, Zychowicz), a raz nawet zapolował na wieszcza narodowego Jarosława Marka Rymkiewicza, poetę wiodącego lud na szubienice.

Superbohater Dąbrowskiego chce zabijać hipokryzję, kłamstwo, obskurantyzm i prostactwo. Cechy te najwyraźniej widoczne są u polityków, ale nie mniej winny jest motłoch, wpatrzony w tych polityków jak w obrazek. Duchowy ojciec Likwidatora należy do tych odważnych twórców, którzy nie zostawiają suchej nitki na świętości świętszej niż patriotyzm czy ojczyzna: na społeczeństwie, które niestety bywa elektoratem. Społeczeństwo rysowane przez Dąbrowskiego jest ciemne i kołtuńskie, powtarza slogany z telewizji, ma czoła gładkie od braku myślenia i oczy tęskniące za rozumem. Gotowe jest zlinczować Tuska, uwierzyć Stanowskiemu, wleźć w dupę Macierewiczowi i postawić pomnik Braunowi.

• • •

Lektura komiksów o Likwidatorze jest jak oglądanie „Nędznych psów” Sama Peckinpaha. Dustin Hoffman jest bezradny wobec chuliganów, którzy osaczają jego i jego żonę. Gdy już, już wydaje się, że zło zwycięży, w zło zamienia się dobro – i Hoffman zabija chuliganów. Satysfakcja. Ukojenie. Ulga.

Albo wszystkie części „Życzenia śmierci”… Czy to grany przez Charlesa Bronsona architekt, czy grany przez Bruce’a Willisa chirurg nic złego nie robią, dopóki źli ludzie nie rujnują im życia. Wówczas zamieniają się w maszyny do zabijania i metodycznie likwidują złych ludzi. Zadowolenie. Radość. Ulga.

Albo nawet „Kevin sam w domu”… Ośmiolatek dający nauczkę dwóm złodziejaszkom. Gdy ich katuje, upokarza i ośmiesza – zwycięża. Pociecha. Wesołość. Ulga.

Odbiorca komiksów o Likwidatorze, który masakruje skurwysynów, nie budzi w sobie morderczych instynktów, tylko czuje ulgę.

Album wydany na 30. urodziny Likwidatora waży 2,5 kg, liczy prawie 500 stron, zawiera pewnie z 5 tys. obrazków i przynosi ulgę.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ryszard Dąbrowski „The best of Likwidator. 30 lat słusznych likwidacji”, Wydawnictwo Kameleon, Radom 2025.

eprasa.pl 066e1a5323

Bajki dla myślących

Bajka przeciw zabijaniu

Zwierzęta społeczne kontra dżungla

Jesteśmy zwierzętami – w znacznym stopniu zwierzętami drapieżnymi. Jak wszystkie drapieżniki mamy w sobie pokłady agresji. To część naszej natury. Ale używając pojęć symbolicznych i myślenia w oparciu o wartości, nauczyliśmy się nadawać tej agresji formy, które nie zawsze fizycznie ranią. Bo przecież jako zwierzęta jesteśmy także stworzeniami stadnymi, które wykształciły zasadę hamowania agresji fizycznej w obrębie swojej grupy. Dlatego – tak jak wilki – „swoich" nie ranimy zębami. Wykształciliśmy agresję zastępczą: warczymy i szczerzymy zęby zamiast wbijać je w szyję swoich współbraci – zyskujemy przewagę lub nawet zadajemy śmierć tylko (a może aż?) symbolicznie. W przypadku ludzi słowa bywają aktem przemocy, który wynika z głębszych, często systemowych społecznych przyczyn.

Źródła agresji tkwią w lęku, frustracji i poczuciu zagrożenia. Boimy się utraty bezpieczeństwa, pozycji, szans. Czujemy gniew, gdy nasze wartości są atakowane, gdy dostrzegamy niesprawiedliwość lub gdy przyszłość staje się niepewna. Lęk i frustracja powodują odruch obronny, który w myśl zasady, że „najlepszą formą obrony jest atak" prowadzi niemal zawsze do biernej lub fizycznej agresji. Te mechanizmy działają zarówno w przypadku pojedynczych osób, jak i w całych grupach – klasach społecznych, środowiskach, wspólnotach tożsamościowych. W ten sposób na przykład tworzą się lokalne lub środowiskowe gangi.

Ale źródłem agresji, podobnie jak w zwierzęcym stadzie, jest walka o dostęp do dóbr i pozycji w grupie – zdobycie władzy! Władzę nad „swoim" stadem częściej niż charyzmą czy postawą trzeba zdobywać agresywną walką. Warto zauważyć, że tak zdobyta władza genetycznym „samcom alfa" często nie wystarcza. Panując nad swoim stadem, przystępują do dalszych, tym razem zbiorowych, międzystadnych zdobyczy. Walczą o dominację nad innym stadem, niekiedy nie unikając masowej rzezi. Tak rodzą się dyktatorzy i ich wojny. Tak rodzą się feudalni i kapitalistyczni bogacze, i z tego powodu nasze powszechne nieszczęścia.

Pewnie byłabym chora, gdybym także w tym felietonie nie wskazała na związki naszej zwierzęcej natury z systemem kapitalistycznym. Nasza zwierzęcość kształtuje niestety system, w którym żyjemy: turbokapitalizm

oparty na neoliberalnych zasadach nie tylko nie łagodzi tych napięć, ale je pogłębia. Wzmacnia nierówności, utrwala podziały, generuje poczucie wykluczenia i beznadziei. System ten dzieli, antagonizuje i trybalizuje społeczeństwo. A tam, gdzie rośnie frustracja, rośnie też agresja i nakręca się spirala nienawiści. Nienasyceni „samce alfa" tworzą agresywny wobec swoich stad imperializm i prowadzą do wojny. Media zamiast budować mosty, często pogłębiają przepaść. Służą określonym interesom, ideologiom, grupom władzy. Zamiast dialogu – monologi. Tak jest nawet w internetowych sieciach społecznościowych. Zamiast zbliżenia – polaryzacja. Internet, zamiast otwierać, zamyka nas w bańkach informacyjnych, gdzie inność staje się wrogiem, a nienawiść – łatwa i anonimowa – staje się normą.

Czy to oznacza, że jesteśmy skazani na wieczny konflikt? Że agresja jest naszym przeznaczeniem?

No nie! Przecież możemy opowiedzieć sobie bajkę o tym, że jesteśmy wprawdzie zwierzętami, ale przecież zwierzętami społecznymi – w znacznej mierze roślinożernymi. A to oznacza, że potrafimy również współpracować, pomagać, budować bliskość. W obrębie własnych grup tworzymy mechanizmy hamowania agresji: normy, zasady, kulturę, która pozwala nam funkcjonować bez ciągłej walki. To dowód na to, że potrafimy się kontrolować, że potrafimy dojrzewać.

Wyobraźmy więc sobie bajkę o społeczeństwie, które nie opiera się na rywalizacji, lecz na współpracy. Gdzie zamiast pogardy dla słabszych jest empatia. Gdzie zamiast wykluczenia – solidarność. Gdzie system ekonomiczny nie dzieli, ale łączy – gwarantując godne warunki życia, sprawiedliwość i poczucie bezpieczeństwa.

W takim świecie nienawiść, brutalna walka o władzę tracą grunt. Bo tam, gdzie ludzie czują się widziani, usłyszani i szanowani, walka o dyktatorską, samczą władzę przestaje przynosić efekty agresorom. Bliskość – emocjonalna, ideowa, ludzka – staje się narzędziem budowania mostów, a nie murów.

Czy to utopia? Być może. Ale w postępie ludzkich umysłów cywilizacja zdobywa przecież stopniowo przewagę nad zwierzęcą drapieżnością. To właśnie w nas – w naszej zdolności do współczucia, wzajemności i współdziałania – tkwi największa szansa na przerwanie spirali nienawiści. To nie jest kwestia usunięcia agresji z natury człowieka, ale jej okiełznania przez kulturę, która w umysłach coraz szerszych grup społecznych stawia na życie – a nie na symboliczną i faktyczną śmierć. To także kwestia uzgodnienia systemu, który ludzkości sprzyja.

ANNA GRODZKA



Ilustr. PAWEŁ FERENC

WIEŚCI GMINNE i INNE

Na Osiedlu Ptasim przy ul. Kanarków w Katowicach rozegrał się koszmar. W automacie paczkowym odnaleziono martwego kota. Zamknięto go tam, jak był żywy. Świadczą o tym odchody i głębokie, rozpaczliwe ślady pazurów rytych na metalowych drzwiczkach. Zwierzę walczyło o życie do samego końca, drapało, szarpało, aż sił zabrakło. W duszącym upale skrytki konało w cierpieniu. Zwłoki w stanie rozkładu odkrył chłopiec, który przyszedł po paczkę. Sprawą zajmuje się policja. To nie był przypadek, lecz celowe, sadystyczne działanie. Nie trzeba kochać kotów, by zrozumieć, że ktoś przekroczył granicę skurwysyństwa tak grubą, że powinien zacząć się bać.

W łódzkim Instytucie Centrum Zdrowia Matki Polki lekarze usunęli guz serca u noworodka w 11. minucie życia. Dziewczynka miała w worku osierdziowym potworniaka wielkości serca, wykrytego jeszcze w połowie ciąży. Operacja zakończyła się sukcesem i uratowała życie. Filozoficznie rzecz ujmując, to historia o tym, jak ślepy przypadek natury spotkał się z ludzką zdolnością przekraczania granic, które wydawały się nienaruszalne.

W Bojanicach (woj. wielkopolskie) doszło do tragedii. Około 60-letniego mężczyznę staranowały byki. Na miejsce zadysponowano trzy jednostki straży pożarnej z Karniszewa, Zdziechowy i Kłecka. Strażacy zabezpieczyli teren i z pełnym poświęceniem prowadzili reanimację, jednak mimo wysiłków życia poszkodowanego nie udało się uratować. Los byka wydaje się przesądzony. Śmierć za śmierć, jak mawia wiejska sprawiedliwość. A my pozwolimy sobie dodać małą uwagę praktyczną: może warto, by operator 112 w takich przypadkach wzywał w pierwszej kolejności medyków, a nie od razu pogromców ognia.

Polska sekularyzuje się najszybciej na świecie – potwierdzają badania opublikowane w „Nature Communications". Jeszcze w 2011 r. w spisie powszechnym 87 proc. Polaków deklarowało się jako katolicy, a w 2021 – już tylko 71 proc. W tym samym czasie liczba osób niewierzących wzrosła z kilku do 14 proc. Największy spadek praktyk religijnych widać u młodych. Tu różnice pokoleniowe są rekordowe w skali globu. Powody? Modernizacja kraju, zaangażowanie Kościoła po stronie PiS, zaostrzenie prawa aborcyjnego, Strajk Kobiet, pandemia COVID-19, skandale seksualne wśród duchownych i coraz mniejsza rola religii w wychowaniu. A co na to Bóg Wszechmogący? 16 proc. Polaków twierdzi, że go nie ma, 14 proc., że nie wierzy, a reszta najwyraźniej nie czuje potrzeby meldować się co niedziela. Wygląda więc na to, że niebo też ma coraz mniejszą frekwencję.

Polacy już płacą podatek katastralny! Oczywiście nie w Polsce, bo tu wciąż liczymy metry kwadratowe, ale w Hiszpani, gdzie kupują masowo nieruchomości. Za apartament w Marbelli wart oko 350 tys. euro roczna danina potrafi sięgnąć 9 tys. zł. W kraju nad Wisłą właściciel 70-metrowego M-4 płaci dziś kilkaset złotych rocznie. Gdyby jednak wprowadzić hiszpańskie stawki, mieszkanie za milion w Warszawie kosztowałoby 14 tys. zł samego podatku rocznie. Ministerstwo Finansów uspokaja: „Nie, nie, absolutnie nie pracujemy nad tym"… co w języku polityki oznacza, że temat jest już na biurku, tylko jeszcze nie wydrukowali formularzy.

Otóż, proszę państwa, wygląda na to, że atak na tramwaj we Wrocławiu mógł nie być zwykłym wyskokiem kilku grafficiarzy, ale częścią większej strategii antysystemowej. Bo oto radni miejscy w tym samym czasie wprowadzili zakaz sprzedaży alkoholu po godz. 22.00. Cała stolica Dolnego Śląska będzie musiała przejść na tryb „kup se wcześniej, obywatelu". Oficjalnie chodzi o bezpieczeństwo. Nieoficjalnie zaś to frontalny atak na prawo człowieka do zapomnienia się w środku nocy. Cała Lewica poparła regulację, choć jeszcze niedawno stawiała się w roli obrońcy wolności i emancypacji. Teraz emancypować możemy się najwyżej przy bezalkoholowym piwie. Czekam już tylko, aż Adrian Zandberg oznajmi, że prałat Jankowski był w gruncie rzeczy ofiarą złego PR-u.

Nie sposób w tej rubryce pominąć (co i tak wszyscy wiedzą), że rosyjska (prawdopodobnie) technika militarna dała popis innowacyjności w minionym tygodniu. Tym razem drony zbudowane ze sklejki, styropianu i taśmy izolacyjnej dokonały zmasowanego ataku na polskie pola kukurydzy, uprawy chmielu i klatkę z królikami na Lubelszczyźnie. Tusk o godz. 4:30 rano już siedział przy Twitterze, broniąc królików przed zagładą. Minister wojny pediatra Kosiniak-Kamysz wstał kilka minut wcześniej, co daje Polsce przewagę strategiczną. Premier i prezydent na chwilę się pojednali, a NATO natychmiast ogłosiło wdrożenie artykułu w obronie królików. A chmiel? Halo, panowie stratedzy! Kto mi odda piwo, które padło ofiarą tej operacji „Burza w stodole"?



Rys. OBYWATEL JANEK

Prezydent Olsztyna Robert Szewczyk stwierdził ostatnio, że edukacja dzieci z sąsiedniej gminy Purda to luksus, na który nie stać nawet takiej metropolii jak stolica Warmii. Zaapelował więc, żeby Purda dorzuciła się do rachunku. W końcu 197 uczniów z tej gminy siedzi w olsztyńskich ławkach, a to kosztuje miasto 1,5 mln zł rocznie. Wójt Purdy Teresa Chrostowska nie kryła zdziwienia. Odparła, że nikt nie liczy odwrotnego przepływu – olsztyńskich dzieci uczących się w jej gminie. Dodała też, że to rodzice wybierają szkoły, subwencje idą za uczniem, a w polskim prawie nie ma rubryki „współfinansowanie sąsiedzkie". Problem niechcianych dzieci, które nie są nasze, narasta.

Gmina Lubaczów dorzuciła mieszkańcom nową atrakcję do życia codziennego: szare worki na popiół. Od lipca każdy, kto ma piec czy kominek, musi teraz sypać tam własne resztki ognia. Powód? Bruksela sobie zażyczyła, żeby marchewki w bio nie pachniały spalenizną. Gmina, żeby uniknąć unijnych batów, musi udowodnić, że popiół to już nie odpad, tylko nawóz, wręcz skarb natury. Jeśli komuś pomyli się worek, może spodziewać się, że urzędnik zajrzy mu do popiołu. Kara za taką „zbrodnię" to nawet o 400 proc. wyższe rachunki za odbiór śmieci. I tak oto zamiast zająć się dziurami w drogach czy ucieczką młodych za granicę, władze gminy z pełną powagą tropią, czy obywatel wyrzucił pył z pieca do właściwego worka. Unijna obsesja recyklingu weszła w fazę, w której człowiek boi się już nie tylko Boga i fiskusa, ale i własnego kominka.

Choć covid dawno wypadł z trendów, w Zakopanem wciąż trzyma się sceny jak discopolowy przebój na góralskim weselu. Szpital Tytusa Chałubińskiego donosi o nowych przypadkach, tym razem w wersji „Stratus" i „Nimbus". Nazwy brzmią jak modele chmur, ale skutki są mniej poetyckie: gardło jak cięte żyletką, kaszel, katar, osłabienie, a u najmłodszych rzyganie i luźny stolec. Starsi i przewlekle chorzy trafiają na oddział, lekarze apelują o czujność. Turystom zostaje jedna skuteczna profilaktyka: zamiast maseczki, szerokim łukiem omijać Zakopane.

Policjanci z grupy SPEED w Tarnobrzegu udowodnili, że matematyka potrafi być śmiertelnie niebezpieczna. Zatrzymali 19-latka w BMW, który pruł Wisłostradą 192 km/h, bo, jak wyjaśnił, śpieszył się na sprawdzian. Mandat 5 tys. zł i 15 punktów karnych sprawiły, że nie dość, iż na egzamin nie zdążył, to jeszcze dostał pałę od państwa zamiast od nauczyciela. Oto przykład, jak organy przymusu bezpośredniego brutalnie dławią młodzieńczy zapał do nauki. Budowa państwa opresji trwa, a ofiarą padają nie tylko kierowcy, ale i niewinne równania kwadratowe.

W Radomiu na ul. Okulickiego doszło do typowego dla tego miasta zdarzenia. 43-latek, mając 1,5 promila, wsiadł na hulajnogę elektryczną i z impetem wbił się w karetkę pogotowia, która spokojnie czekała na włączenie się do ruchu. Efekt? Poszkodowany od razu miał zapewniony transport do szpitala, bo zabrano go tą samą karetką, w którą uderzył. Na miejscu działali policjanci. Zanim zdążyli odetchnąć, podjechał do nich kolejny bohater, 37-letni znajomy rannego, też na hulajnodze i też pijany. Zaledwie z promilem. Ten obył się bez kolizji, więc skończyło się mandatem 2500 zł. Rannych nie było, poza i tak wątpliwą godnością miasta Radomia.

Poseł PiS Janusz Kowalski ogłosił światu, że został tatą – a kto wie, może i mamą. „Cudownie, że jesteś z nami" – napisał wzruszony w mediach społecznościowych, publikując zdjęcie, na którym noworodek leży mu na piersi. Widok ten budzi pytanie, czy poseł nie pobił właśnie światowego rekordu medycyny i nie urodził dziecka osobiście. Jeśli tak, to gratulacje należą się nie tylko z okazji powiększenia rodziny, ale też za wkład w rewolucję biologiczną.

Stowarzyszenie Ochrony Sów (Owl Conservation Association) ogłosiło przełom na miarę tysiąclecia. W Rzeczpospolitej udało się złapać na gorącym uczynku syczka w roli ojca rodziny. Mamy pierwszy udokumentowany lęg tej sowy w powiecie wodzisławskim. Samiec, samica i aż trzy pisklęta ubiegać się będą o becikowe. Zatem narodowa lista sów lęgowych rozrosła się do całych jedenastu gatunków. Ornitolodzy cieszą się jak dzieci, choć przyznają, że nie wiedzą, czy syczki zechcą powtórzyć ten eksperyment w przyszłości. No bo skąd mają wiedzieć? Ptaki są kapryśne. Dziś gniazdują, jutro emigrują. Z punktu widzenia naukowej ornitologii są kompletnie nieprzewidywalne.

RJ

PS Informacje prezentowane w niniejszym materiale pochodzą z prasy lokalnej. Źródła tego rodzaju mogą zawierać nieścisłości, uproszczenia bądź błędy redakcyjne, które w skrajnych przypadkach mogą przybrać formę treści nieprawdopodobnych lub wprowadzających w błąd. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne skutki wynikające z wykorzystania tych informacji. Czytelnik powinien każdorazowo traktować je z należytą ostrożnością i świadomością, że rozbieżności mogą być zarówno zbyt subtelne, aby je od razu wychwycić, jak i na tyle poważne, by podważać wiarygodność całości przekazu.

eprasa.pl 066e1a5323

Żyła zdrowia

Państwo zasłuchało się w kolędę o tych, którzy „cuda, cuda obiecują”.

Zaczęło się od proszku na energię, a skończyło na syropie, który miał leczyć hashimoto. Dorota Rabczewska, czyli Doda, opowiadała milionom obserwatorów o tym, jak jej suplementy nie tylko poprawiają samopoczucie, ale wręcz wpływają na hormonalną równowagę organizmu. Używała języka sugestii i emocjonalnych historii – ulubionej stylistyki współczesnego marketingu.

Rada od przyjaciółki

Przewiozła się jednak. Dla organów państwa przekroczyła bowiem granicę, za którą zaczyna się odpowiedzialność prawna. Gdy w maju Główny Inspektorat Farmaceutyczny złożył zawiadomienie do prokuratury, nie chodziło o samo promowanie produktu, lecz o przypisywanie mu właściwości leczniczych. Co wedle przepisów czyni zeń produkt leczniczy, a nie suplement diety.

Podobnych przypadków było więcej. UOKiK przywalił Małgorzacie Rozenek-Majdan 220 tys. zł za nieoznaczoną reklamę suplementów. Z kolei Anna Lewandowska promowała własną linię preparatów witaminowych, których składy – zdaniem ekspertów – były wątpliwe jakościowo i często zawierały śladowe ilości reklamowanych substancji czynnych. Magdalena Pieczonka, popularna w sieci makijażystka, reklamowała suplementy wspomagające porost włosów, podając się przy tym za trycholożkę – co samo w sobie było już nadużyciem.

Zainteresowanie influencerów suplementami nie jest przypadkowe – to rynek szacowany na ponad 10 mld zł rocznie, z których znaczna część to kasa na marketing. W 2024 r. liczba zgłoszeń o wprowadzających w błąd reklamach wzrosła o blisko 40 proc. Najczęściej dotyczyły nieudokumentowanych obietnic, a także kryptoreklamy. Z raportów wynika, że tylko 20 proc. kampanii w social mediach jest właściwie oznaczona. Oznacza to, że większość przekazu ma charakter nieformalny, a więc trudny do prawnego przyczepienia się.

Tymczasem zaufanie odbiorców do celebrytów rośnie. Psychologowie społeczni mówią wprost: im bliższa, bardziej „prywatna” narracja influencera, tym większa skłonność odbiorcy do traktowania jego przekazów jako prawdziwych. Odbiorca nie czuje, że to reklama – czuje, że to rada od przyjaciółki.

Kuleje oczywiście nadzór. Raport NIK z 2023 r. wskazuje, że aż 80 proc. suplementów obecnych na rynku nie przechodzi żadnych badań laboratoryjnych. GIS, dysponując zaledwie kilkoma osobami odpowiedzialnymi za weryfikację dziesiątek tysięcy zgłoszeń rocznie, nie ma realnej możliwości kontroli jakości wprowadzanych preparatów. Sprawy kończą się często umorzeniami – prokuratura nie dysponuje narzędziami pozwalającymi udowodnić bezpośredni związek między suplementem a szkodą zdrowotną. Państwo abdykowało.

Szarlataneria ustawodawcza

Projekt ustawy – ochrzczony przez dziennikarzy mianem „Lex Szarlatan” – miał być lekarstwem na galopującą erozję autorytetu medycyny. Bo dziś w sieci mamy wysyp biohakerów, naturopatów i coachów od „uzdrawiania duchowego”. Ministerstwo Zdrowia postanowiło powiedzieć: dość. Ale zrobiło to w sposób dla siebie nader typowy.

Ustawa wprowadza pojęcia „pseudomedycyny” i „medycznej dezinformacji” – jednak nie definiuje ich jasno. Rzecznik praw pacjenta uzyskałby prawo do karania, publikowania ostrzeżeń, a nawet zamykania działalności bez potrzeby wykazania rzeczywistej szkody. Wystarczy „podejrzenie”, że przekaz mógł kogoś wprowadzić w błąd. Tyle że w projekcie roi się od sformułowań, które brzmią ładnie, ale znaczą tyle, co nic. „Nieuzasadnione twierdzenie o wpływie na zdrowie”, „potencjalne zagrożenie informacyjne”, „działalność mogąca wprowadzić w błąd odbiorcę w zakresie samodzielnego podejmowania decyzji zdrowotnych” – to urzędowy bełkot. Każde z tych sformułowań pozwala ukarać lub uciszyć – ale nie zobowiązuje do wyjaśnienia, co dokładnie oznacza „nieuzasadnione”. W efekcie karany może być nie ten, kto manipuluje, tylko ten, kto użył złej metafory.

Przy braku precyzyjnych definicji ustawa może okazać się bronią obosieczną. Dietetyk, który napisze, że witamina C „wspiera odporność”, może zostać oskarżony o przypisywanie jej właściwości leczniczych. Trener personalny, który poleci magnez jako środek na skurcze, zostanie wezwany do wyjaśnień. Bloger, który opisze własne doświadczenia z adaptogenami znajdzie się na celowniku rzecznika.

Najbardziej absurdalnym aspektem jest to, że

zamiast wprowadzać gumowe regulacje, można było pójść ścieżką sprawdzoną i skuteczną: zakazać reklamowania suplementów diety. Po prostu. Jak zakazano reklamy papierosów czy gorzały. Odciąć rynek od promocji. Bez promocji nie ma popytu. Bez popytu – nie ma patologii.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ale zakaz reklamy uderzyłby nie tylko w influencerów, lecz także w media, które żyją z emisji spotów suplementacyjnych. Uderzyłby w wydawnictwa, portale, stacje telewizyjne. Dlatego – zamiast przeciąć problem u źródła – skonstruowano pozorny bat. Taki, którym łatwiej trafić w dietetyka niż w szarlatana.

Witaminka z amfetaminką

Rynek suplementów diety w Polsce przypomina Dziki Zachód – z tą różnicą, że zamiast koni są przesyłki kurierskie, a zamiast rewolwerów – kod rabatowy. Wartość branży przekroczyła już 10 mld zł rocznie. Każdego roku do GIS trafia ponad 20 tys. zgłoszeń nowych produktów. W rejestrze widnieje ich już ponad 190 tys. System? Przestarzały, przeciążony i – przede wszystkim – pozorny.

Zgłoszenie nowego suplementu to proces trwający mniej niż godzinę. Wystarczy wypełnić formularz online, nie trzeba załączać wyników badań, nie trzeba dostarczać próbek. GIS analizuje tylko ułamek dokumentacji. Większość produktów trafia na rynek bez żadnej kontroli. A jeśli produkt budzi wątpliwości? Zanim sprawa zostanie rozpatrzona, preparat dawno znika z półek – często pojawiając się ponownie pod nową nazwą i nowym czekającym latami na rozpatrzenie wnioskiem.

System obrotu suplementami jest mechanizmem legalizacji chaosu. Nie bada się skuteczności, nie sprawdza interakcji, nie weryfikuje źródła substancji czynnych. Producent ma obowiązek zadeklarować, ale nikt nie ma obowiązku sprawdzić. Jak przyznają urzędnicy GIS: „My nie zatwierdzamy, my tylko rejestrujemy”.

W 2024 r. CBŚP i GIS przeprowadziły kontrole. Wyniki były druzgocące: w probiotykach wykryto bakterie kałowe, w preparatach na sen – melatoninę w dawkach przekraczających nawet o 300 proc. deklaracje, w suplementach na odchudzanie – substancje psychoaktywne przypominające działaniem amfetaminę. W 34 przypadkach stwierdzono obecność leków na receptę – bez ich wykazania na etykiecie.

To nie były incydenty – to była norma. Produkty te trafiały do aptek, sklepów internetowych, a nawet sieci drogerii. Często opatrzone były hasłami „naturalny skład”, „bezpieczny dla dzieci”, „polecany przez dietetyków”. Nikt przecież nie sprawdzi, których dietetyków. Certyfikaty? Często samodzielnie nadane przez firmy lub nieistniejące stowarzyszenia.

NIK w raporcie z 2024 r. napisała wprost: „System kontroli suplementów jest fikcją. Państwo pełni rolę księgowego, nie kontrolera”. Mimo to Ministerstwo Zdrowia ograniczyło się do działań kosmetycznych: podniosło maksymalne kary za nieprawidłową reklamę z 214 tys. do 700 tys. zł, uruchomiło rejestr SEPIS i zapowiedziało większą przejrzystość. Fundamenty pozostały nietknięte. Nadal obowiązuje zasada: „klik i sprzedajesz”.

Problem w tym, że państwo nie tylko przymyka oko. Ono aktywnie uczestniczy w procederze. Suplementy są reklamowane w mediach publicznych, objęte kampaniami promocyjnymi, wspierane przez celebrytów zapraszanych do telewizji śniadaniowej. Pod pozorem „informowania”, odbywa się nieformalna akceptacja ich obecności w codziennym życiu.

Bo to problem woli politycznej. Gdyby władza chciała, można uszczelnić system w rok. Ale nikt nie chce, bo zbyt wielu na tym zarabia.

Bo suplementacja w Polsce to nie troska o zdrowie. To przemysł emocji, niepokoju i marketingu. Państwo nie tyle toleruje patologię – ono ją współtworzy. Zamiast walczyć z wiatrakami, remontuje je. Bo te wiatraki kręcą się dla wszystkich – i dla urzędnika, i dla reklamodawcy, i dla polityka.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

Niewiele potrzeba, by ludzie znów mogli liczyć na kredyt hipoteczny. I to nie dzięki kolejnemu rządowemu programowi, w którym państwo płaci bankom część odsetek, a deweloperzy zacierają ręce, bo podnoszą ceny o dokładnie taką samą kwotę. Dane GUS pokazują, że jeszcze niedawno kupujący musieli zadowalać się coraz mniejszym metrażem. „Przeciętne mieszkanie oddawane nabywcom w pierwszym półroczu w budynkach wielorodzinnych miało powierzchnię mniejszą o 2 mkw. niż trzy lata wcześniej” – podał urząd. W 2022 r. przeciętne mieszkanie w bloku miało 53 mkw., rok później – 52, a w pierwszym półroczu 2024 – już tylko 51,9 mkw. Ludzie kupowali coraz mniejsze lokale, bo liczyli złotówki. Ale trend właśnie się odwraca. W budynkach, na które wydano pozwolenia w pierwszym półroczu, średni rozmiar lokali wyniósł 53,2 mkw. – tyle, ile trzy lata temu. Skąd ta zmiana? Odpowiedź jest prosta: spadek stóp procentowych. W tym roku referencyjna stopa NBP spadła o 1 punkt procentowy i wynosi dziś 4,75 proc. To dużo, ale dla kredytobiorców różnica jest kolosalna. „Ich możliwości kredytowe rosną, stać ich na większe powierzchnie” – podsumowuje GUS. Widać to w liczbach. W 2024 r. udzielono 202,7 tys. kredytów hipotecznych o wartości 85,2 mld zł. To aż o 25 proc. więcej niż rok wcześniej, mimo że wtedy działał program „Bezpieczny kredyt 2 proc.”. Co więcej, wartość pożyczek była o 36 proc. wyższa niż w 2023 r. A teraz wyobraźmy sobie, że państwo i samorządy wzięłyby się wreszcie do roboty i zaczęły budować po kilkadziesiąt tysięcy rocznie mieszkań na wynajem. W połączeniu z niskimi stopami procentowymi mielibyśmy coś, czego od dawna brakuje – ceny mieszkań dostępnych dla normalnie zarabiających. A mieszkanie znów stałoby się dobrem powszechnym, a nie towarem luksusowym.

Tusk zapowiedział wielką „repolonizację polskiej gospodarki”. Miało być biało-czerwono, dumnie i narodowo. A wyszło tak, że w Goleniowie koło Szczecina duńska firma sprzedała fabrykę... innej duńskiej firmie. I to właśnie przedstawiane jest jako wielki sukces inwestycyjny, któremu media zrobiły reklamę większą niż otwarciu nowej Biedronki w kolejnym Pipidówku. Dotychczas zakład należał do LM Wind Power, a teraz przejął go Vestas. „Przejęcie stanowi kolejny krok w strategicznej ekspansji Vestas w zakresie europejskiej bazy produkcyjnej i łańcucha dostaw, która ma na celu sprostać rosnącym potrzebom Europy w obszarze bezpiecznej, przystępnej cenowo i zrównoważonej energii” – głosi komunikat prasowy. Brzmi to tak, jakby goleniowska fabryka uruchomiona w 2009 r. i rozbudowana w 2017 r. miała od jutra zbawiać świat. Ale w praktyce dalej będzie robić to samo – łopaty do turbin wiatrowych. Dla tych samych klientów. W tej samej cenie. Z tymi samymi pracownikami. Nowy właściciel Felix Henseler oświadczył: „Wzmocnienie naszych mocy produkcyjnych jest kluczowe, aby sprostać europejskiemu zapotrzebowaniu na bezpieczną, przystępną cenowo i zrównoważoną energię oraz zwiększyć naszą konkurencyjność przemysłową”. Na tle takich zdań korpobełkot dostaje skrzydeł. Jeszcze chwila i ktoś ogłosi, że łopaty z Goleniowa będą ratować niedźwiedzie polarne przed topniejącym lodem. Ale w Polsce ogłoszono sukces. Jakby repolonizacja właśnie się dokonała, a Vestas okazał się bardziej biało-czerwony niż orzeł na godle. Tyle że zamiast repolonizacji mamy duńsko-duńską rotację. I jeszcze darmową kampanię reklamową, bo media posłusznie cytują korpobełkot o „strategicznej ekspansji” i „zrównoważonej energii”.

Od 30 lat w Polsce słyszymy śpiewkę, że już za chwileczkę, już za momencik inspektorzy Państwowej Inspekcji Pracy dostaną takie uprawnienia, że nieuczciwi pracodawcy będą drżeć ze strachu. Co roku te same zapowiedzi: że tym razem kary będą naprawdę dotkliwe, że kontrolerzy dostaną narzędzia, że wreszcie uda się skończyć z patologiami. I co roku okazuje się, że nic się nie zmienia. Tym razem PIP zapowiada, że kary za łamanie prawa pracy mają wzrosnąć dwukrotnie – do 60 tys. zł. Inspektorzy mają też dostać prawo do przekształcania umów zlecenia w umowy o pracę decyzją administracyjną. „Idziemy naprawdę w kierunku bardzo nowoczesnym – wymiana danych z ZUS-em, dostęp do bazy danych, analiza ryzyka. To przeniesienie nas w XXI wiek” – przekonuje główny inspektor pracy. Tymczasem instytucja nie ma ani ludzi, ani środków. Co roku dostaje dwa razy tyle skarg, ile może skontrolować, a do tego dochodzą jeszcze przecież kontrole planowe. „Trzydzieści procent kontroli wynika ze skarg” – tłumaczy szef PIP. Zapowiadane kary brzmią imponująco. Problem w tym, że dziś już można nałożyć grzywnę do 30 tys. zł. I ilu pracodawców naprawdę ją dostało? Zdecydowana większość kończy się na mandatach po 2–3 tys. zł albo na upomnieniu. A teraz obiecuje się, że będzie inaczej. „Chcemy być jak matka, która przytuli, ale też jak matka, która potrafi dać klapsa” – mówi główny inspektor. Tymczasem liczby nie kłamią i pokazują, że na rynku pracy zaczyna dziać się źle. W 2023 r. PIP naliczyła 270 mln zł niewypłaconych wynagrodzeń – dwukrotnie więcej niż rok wcześniej. To dotyczyło 68 tys. osób. Wypadki przy pracy? Ponad 67 tys. poszkodowanych rocznie. A co na to państwo? Budżet PIP ma wzrosnąć o 29 proc. w 2026 r. Ale pracodawcy wiedzą, że „rewolucja” sprowadza się do komunikatu prasowego. Inspektorzy wiedzą, że bez realnych zmian w sądach i egzekucji prawa będą co najwyżej pisać kolejne raporty. A pracownicy? Oni, czekając na wypłaty, nadgodziny i dzień wolny, posłuchają w telewizji, że „od 1 stycznia wszystko się zmieni”.

„Choć o brakach kadrowych i korzyściach różnorodnych zespołów mówimy coraz więcej, znalezienie pracy po 50. roku życia wciąż jest nie lada wyzwaniem” – westchnęła w mediach ekspertka z Fundacji Heart and Mind. Zawtórował jej dyrektor urzędu pracy, który tłumaczył, że kandydaci 45 plus „nie potrafią się przebić, a pracodawcy ich nie dostrzegają”. „Nowy projekt Fundacji Heart and Mind – Wisdom of Generations i Fundacji Dignum próbuje to zmienić” – czytamy w komunikacie. Ale że dzięki milionom z grantów państwowo-unijnych próbuje przede wszystkim zmienić status finansowy osób, które taki projekt wymyśliły, nie wspomniano. Żeby nadać przedsięwzięciu pozory powagi, opracowano całą liturgię nowomowy. „Design thinking” zastąpił „rutynowe strategie”, a „Job Experience Day” ma zdetronizować przestarzałe targi pracy. W praktyce oznacza to cztery strefy: doradczą, inspiracyjną, VR-ową i taką, gdzie ktoś komuś powie, że lepiej być świetnym specjalistą niż dyrektorem bez dyrekcji. A potem przyjdą warsztaty „outplacementu”, czyli – po polsku – spotkania z osobami, które właśnie zostały wylane z roboty i muszą udawać, że się z tego cieszą. Ale najśmieszniejsze, że całe „wsparcie” odbywa się w kraju, gdzie ustawodawca sam podłożył minę pod zatrudnianie starszych ludzi. Bo skoro przepisy mówią, że osoby z ochroną przedemerytalną zwolnić nie wolno, to żaden normalny pracodawca ich nie zatrudni. I tak oto regulacja, która miała pomóc, zamieniła się w zakaz zatrudniania pięćdziesięciopięciolatek i sześćdziesięciolatków.

TTJ

eprasa.pl 066e1a5323

Polski Związek Kolarski wywiesił białą flagę. Czy słusznie?

Racja nieobecnych

Nie wiem, czy całym środowiskiem sportowym, ale kolarskim na pewno, wstrząsnęła wieść, że męska reprezentacja elity (a ich wyścig obserwowany jest najuważniej) nie pojedzie na mistrzostwa świata w stolicy Rwandy Kigali. Nie potrafię sobie przypomnieć takiego zdarzenia, a kolarstwo śledzę przecież od lat.

Ekipa zeroosobowa

Polski Związek Kolarski wystosował obszerne wyjaśnienie. W sytuacji, gdy Rafał Majka zakończył reprezentacyjną karierę, a Michał Kwiatkowski postanowił skupić się na przygotowaniach do mistrzostw Europy, reprezentacja Polski została bez lidera. „W kolarstwie szosowym kluczową rolę odgrywa lider, wokół którego budowana jest cała drużyna. Wobec braku naszych najbardziej doświadczonych zawodników, a także z uwagi na wysokie koszty i skomplikowaną logistykę wyjazdu do Rwandy, uczestnictwo w zawodach nie byłoby w pełni uzasadnione sportowo – napisano całkiem do rzeczy w komunikacie PZKol.

Bardzo niedawno („NIE” 35/2025) pisałem, że przyznanie organizacji kolarskich mistrzostw świata Rwandzie jest poronionym pomysłem, za którym stały raczej względy polityczne niż sportowe. Prawda, Międzynarodowa Unia Kolarska (UCI) od dawna stara się zaktywizować kontynent afrykański, w Lozannie organizowane są specjalne kursy i obozy treningowe dla Afrykańczyków, a Biniam Girmay z Erytrei z zawodowej grupy Intermarché już jest widoczny w peletonie, zwłaszcza na finiszach – ale przyznanie imprezy toczącej wojnę Rwandzie, która buduje swoją pozycję w świecie poprzez sport wyczynowy i łoży na to duże pieniądze, musi budzić zastrzeżenia. Nie mówiąc już o wspomnianych w komunikacie PZKol. trudnościach logistycznych.

Z udziału zrezygnowało kilku znanych kolarzy, przede wszystkim zwycięzca Vuelta a España Duńczyk Jonas Vingegaard – ale przecież przez to reprezentacja Danii nie wywiesza białej flagi.

W 2014 r. w hiszpańskiej Ponferradzie (obok której przejeżdżał tegoroczny wyścig Vuelta a España) Michał Kwiatkowski zdobył tęczową koszulkę mistrza świata. Polacy sięgali wcześniej po mistrzowskie tytuły, ale w czasach, gdy rozgrywano zawody osobno dla zawodowców i amatorów. Był to podział idiotyczny, bo amatorów z krajów socjalistycznych utrzymywały załogi państwowych przedsiębiorstw, a na Zachodzie sponsorowały różne firmy, także np. policja. Więc oni wszyscy także byli poniekąd zawodowcami, tylko jak gdyby słabszymi i gorzej opłacanymi.

Na sukces Kwiatkowskiego w Ponferradzie pracowała cała drużyna. Każdy z jej członków brał na siebie ciężar prowadzenia na poszczególnych rundach i w ten sposób, niczym w futerale, wieźli swojego lidera w pobliże mety. Pamiętam, że ostatnią mocną zmianę dał Michał Gołaś, a dla lidera zostało najważniejsze zadanie: wygrać.

Kolarstwo jest sportem wyjątkowo niesprawiedliwym. Kwiatkowskiego doskonale znają kibice. O Gołasiu mało kto cokolwiek wie, choć także był znakomitym zawodnikiem i startował w silnych grupach zawodowych (m.in. z Kwiatkowskim w Ineos Grenadiers) – ale zawsze spełniał rolę pomocnika lidera. Szczerze przyznam, że nie mam pojęcia, co się z nim dzieje od czasu, gdy przestał startować w ważnych wyścigach. Nie wiem nawet, czy kontynuuje karierę; ma 41 lat, a to nie jest wiek dyskwalifikujący szosowca.

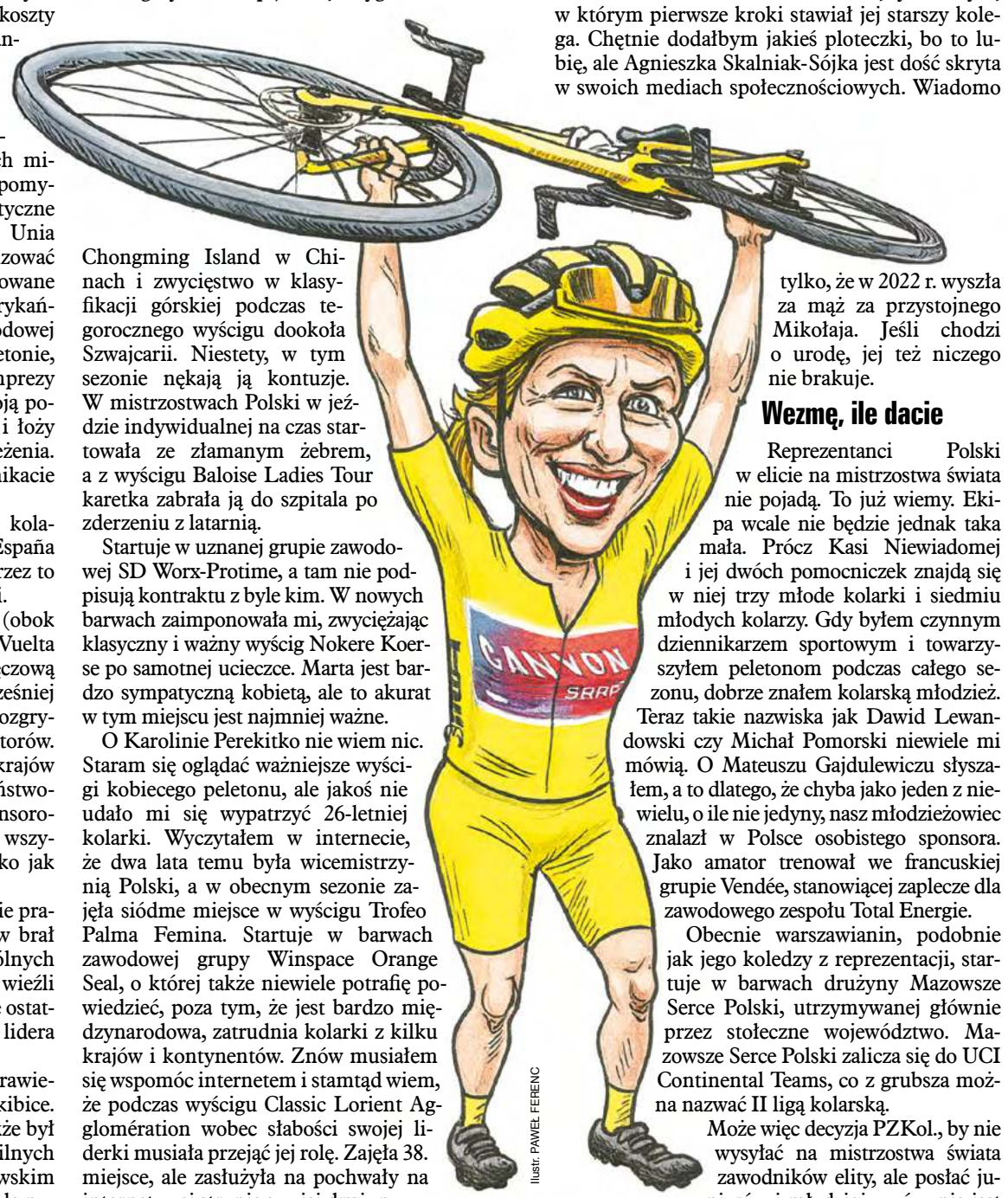
O tym, ilu zawodników może reprezentować kraj w mistrzostwach świata, decyduje liczba punktów zdobytych podczas wyścigów w sezonie. Z tym bywało różnie, zdarzyło się i tak, że Kwiatkowski startował sam, bez „obstawy” – punkty pozwalały wysłać tylko jednoosobową ekipę – i oczywiście sam niczego nie zwojował. Ale na mistrzostwa świata pojechał. Jest znakomitym kolarzem, mógł przypadkowo skorzystać z akcji rywali, wszystko było jednak mocno niepewne. Trudno mistrza świata pozbawiać startu w mistrzostwach świata.

Dziewczyny rządzą

Od jakiegoś czasu wiadomo, że polskie kolarstwo stoi paniami. Kasia Niewiadoma (wkurza ją, gdy ktoś mówi „Katarzyna”, próbowała nawet zmienić imię w licencji sportowej, ale bez skutku) jest jedną z najlepszych zawodniczek świata, zwyciężczynią Tour de France przed rokiem, a w ostatnim wyścigu dookoła Francji zajęła trzecie miejsce. Ma w dorobku wiele medali, a byłoby ich więcej, gdyby nie malutki problem: Kasi brakuje szybkości na finiszu. Gdy do mety dojeżdża peleton albo spora czołówka, szanse Kasi maleją. Szybkość jest cechą wrodzoną, nic na to nie poradzi.

Trasa mistrzowskiego wyścigu w Kigali jest bardzo trudna, z ciężkimi podjazdami – taka, jaką nasza zawodniczka lubi. Powinna mieć dobre wsparcie drużyny. Do Rwandy pojadą z nią Marta Lach i Karolina Perekitko. Taka jest decyzja selekcjonerki.

Marta Lach to uznana firma. 28-latka ma na koncie sporo sukcesów, w tym 10. miejsce podczas igrzysk olimpijskich, wygranie Tour de Chongming Island w Chinach i zwycięstwo w klasyfikacji górskiej podczas tegorocznego wyścigu dookoła Szwajcarii. Niestety, w tym sezonie nękają ją kontuzje. W mistrzostwach Polski w jeździe indywidualnej na czas startowała ze złamanym żebrem, a z wyścigu Baloise Ladies Tour karetka zabrała ją do szpitala po zderzeniu z latarnią.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Startuje w uznanej grupie zawodowej SD Worx-Protime, a tam nie podpisują kontraktu z byle kim. W nowych barwach zaimponowała mi, zwyciężając klasyczny i ważny wyścig Nokere Koerse po samotnej ucieczce. Marta jest bardzo sympatyczną kobietą, ale to akurat w tym miejscu jest najmniej ważne.

O Karolinie Perekitko nie wiem nic. Staram się oglądać ważniejsze wyścigi kobiecego peletonu, ale jakoś nie udało mi się wypatrzyć 26-letniej kolarki. Wyczytałem w internecie, że dwa lata temu była wicemistrzynią Polski, a w obecnym sezonie zajęła siódme miejsce w wyścigu Trofeo Palma Femina. Startuje w barwach zawodowej grupy Winspace Orange Seal, o której także niewiele potrafię powiedzieć, poza tym, że jest bardzo międzynarodowa, zatrudnia kolarki z kilku krajów i kontynentów. Znów musiałem się wspomóc internetem i stamtąd wiem, że podczas wyścigu Classic Lorient Agglomération wobec słabości swojej liderki musiała przejąć jej rolę. Zajęła 38. miejsce, ale zasłużyła na pochwały na internetowej stronie swojej drużyny.

Byłem przekonany, że Kasię Niewiadomą wspierać będzie podczas mistrzostw świata Agnieszka Skalniak-Sójka. Startują w barwach tej samej drużyny Canyon-SRAM Racing i już nie raz Agnieszka pokazała, jak znakomicie potrafi pomagać liderce. Podczas Tour de France musiała się wycofać z wyścigu przed piątym etapem, a w sieci pojawiły się zdjęcia zalanej łzami kolarki. Chciała pomagać Kasi nadal, ale z wirusową infekcją przegrała. Musiała to być poważniejsza choroba, bo nie wystartowała – choć początkowo była zgłoszona – także w Tour de Pologne. Dlaczego nie pojedzie na mistrzostwa świata? Nie sądzę, żeby nie znalazła uznania w oczach selekcjonerki. Trzeba pamiętać, że zawodowe drużyny mają swoje plany. Z tego, co się orientuję, Agnieszka poleciała do Ameryki Północnej i stamtąd nadeszły już świetne wiadomości. Wygrała pierwszą edycję Maryland Cycling Classic. Po szybkim finiszu pokonała Kanadyjkę Alison Jackson i Amerykankę Emmę Langley. Piąte miejsce zajęła Marta Jaskulska.

Mówcie sobie, co chcecie, polskie kolarstwo kobiece wyrasta na potęgę. Wszystkie nasze czołowe kolarki zbliżają się do trzydziestki lub – jak Kasia Niewiadoma – właśnie do niej dobiły. A to jest najlepszy wiek dla kobiet ścigających się po szosach na rowerach.

Po sukcesie Agnieszka szybko wróciła do Andory, gdzie przygotowywać będzie się do mistrzostw Europy. Postawiła przed sobą taki sam cel jak Michał Kwiatkowski. Agnieszka Skalniak-Sójka depcze po piętach naszemu mistrzowi świata. Swój pierwszy duży sukces odniosła w Ponferradzie. Tam, gdzie Kwiatkowski przywdziewał tęczową koszulkę najlepszego na świecie, ona zdobyła brązowy medal w kategorii juniorek. Pochodząca z Żegiestowa zawodniczka jako amatorka trenowała w klubie Pacific Toruń, tym samym, w którym pierwsze kroki stawiał jej starszy kolega. Chętnie dodałbym jakieś ploteczki, bo to lubię, ale Agnieszka Skalniak-Sójka jest dość skryta w swoich mediach społecznościowych. Wiadomo tylko, że w 2022 r. wyszła za mąż za przystojnego Mikołaja. Jeśli chodzi o urodę, jej też niczego nie brakuje.

Wezmę, ile dacie

Reprezentanci Polski w elicie na mistrzostwa świata nie pojadą. To już wiemy. Ekipa wcale nie będzie jednak taka mała. Prócz Kasi Niewiadomej i jej dwóch pomocniczek znajdą się w niej trzy młode kolarki i siedmiu młodych kolarzy. Gdy byłem czynnym dziennikarzem sportowym i towarzyszyłem peletonom podczas całego sezonu, dobrze znałem kolarską młodzież. Teraz takie nazwiska jak Dawid Lewandowski czy Michał Pomorski niewiele mi mówią. O Mateuszu Gajdulewiczu słyszałem, a to dlatego, że chyba jako jeden z niewielu, o ile nie jedyny, nasz młodzieżowiec znalazł w Polsce osobistego sponsora. Jako amator trenował we francuskiej grupie Vendée, stanowiącej zaplecze dla zawodowego zespołu Total Energie.

Obecnie warszawianin, podobnie jak jego koledzy z reprezentacji, startuje w barwach drużyny Mazowsze Serce Polski, utrzymywanej głównie przez stołeczne województwo. Mazowsze Serce Polski zalicza się do UCI Continental Teams, co z grubsza można nazwać II ligą kolarską.

Może więc decyzja PZKol., by nie wysyłać na mistrzostwa świata zawodników elity, ale posłać juniorów i młodzieżowców, nie jest taka głupia, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Rafał Majka już skończył reprezentacyjną karierę, Michał Kwiatkowski też jest bliższy temu niż dalszy. Następców nie widać, trzeba ich wychować.

Kolarstwo jest bardzo drogim sportem, wystarczy powiedzieć, że rower kosztuje tyle, ile dobry samochód. Każdy kolarz potrzebuje minimum trzech rowerów. A wyjazdy na wyścigi, hotele, wóz techniczny, autobus? Nic wiec dziwnego, że sponsorzy są w tym sporcie tak ważni.

Srebrny medalista olimpijski z Moskwy (1980 r.) i organizator Tour de Pologne Czesław Lang opowiadał mi o swoich początkach zawodowej kariery. Usiadł przy wielkim stole, po którego drugiej stronie zajęli miejsca sponsorzy jego zespołu. Gdy stwierdzili, że są z „Cesare” – jak nazywano Langa we Włoszech – zadowoleni i chcą podpisać kontrakt na kolejny rok, polski jedynak w zawodowym peletonie poczuł się, jak gdyby złapał Pana Boga za nogi. „A ile chcesz zarabiać?” – padło pytanie. Lang wspomina, że kompletnie nie wiedział, co odpowiedzieć. W Polsce, przypomnijmy, że to były czasy PRL, takie pytanie uznanoby za nietaktowne. „No, ile?” – ponaglali sponsorzy. „Ile dacie, tyle wezmę” – odpowiedział cichutko „Cesare”.

Warto, nie warto?

A teraz coś z zupełnie innej beczki. Magazyn „Track & Field News” jest jak lekkoatletyczne Pismo Święte. Wychodzące od 1948 r. czasopismo specjalizuje się w gromadzeniu wyników i rekordów uzyskiwanych przez zawodniczki i zawodników.

Przed trwającymi właśnie w Tokio lekkoatletycznymi mistrzostwami świata pismo opublikowało oparte na twardych faktach prognozy. Wynikało z nich, że Polska ma zero medalowych szans. Czy w związku z tym był sens wysyłania 61 lekkoatletek i lekkoatletów w daleką i kosztowną podróż?

Same władze Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, zamiast mówić o medalach, określają start w stolicy Japonii jako „wymagający” albo „trudny”. Dyscyplina przechodzi zmianę pokoleniową. Cztery lata temu na tym samym stadionie podczas igrzysk olimpijskich Polacy wywalczyli dziewięć medali, w tym dwa złote. Na kolejnych igrzyskach, w Paryżu, był już tylko jeden medal – brązowy Natalii Kaczmarek, dziś Bukowieckiej, w biegu na 400 m.

To prawda, że mamy uzdolnioną lekkoatletyczną młodzież, co potwierdziły rozegrane w lipcu i w sierpniu mistrzostwa Europy do lat 20 i 23. Widać kandydatki i kandydatów na przyszłych czempionów. Ale jeszcze nie teraz.

Ktoś powie, że Polacy powinni jechać do Tokio po naukę. Ale czy czegoś mógł tam się uczyć 36-letni młociarz, pięciokrotny mistrz świata Paweł Fajdek? Albo jego koleżanka specjalizująca się w tej samej konkurencji, 40-letnia trzykrotna złota medalistka olimpijska Anita Włodarczyk? Albo mąż Natalii Konrad Bukowiecki w pchnięciu kulą?

Oczywiście w Tokio powinniśmy być reprezentowani. Nie wyobrażam sobie, żeby lekkoatletyczni działacze mogli pójść w ślady kolarskich. Gdyby przyjmować podobne kryteria, nie miałoby sensu staranie się piłkarskiej reprezentacji o udział w mistrzostwach świata. Zakładając, że uda się jej awansować do przyszłorocznego turnieju finałowego w USA, Meksyku i Kanadzie – do czego droga jest długa i bardzo niepewna – wiadomo, że Polacy pojechaliby tam zbierać tęgie cięgi. Po prostu nie mamy dobrych futbolistów i czy kadrą rządzić będzie trener Jan Urban, czy Pep Guardiola, szanse na medal są mniejsze niż to, że prezydent Nawrocki nie zawetuje ustawy łagodzącej możliwość przerywania ciąży.

A piłkarki i piłkarze ręczni, nie mówiąc już o hokeistkach i hokeistach? Czy możemy sobie wyobrazić, że zdobędą mistrzostwo świata? Koszykarskie Euro częściowo rozgrywane w naszym kraju pokazało, że możemy być mocni na kontynencie, ale do medalowych pozycji nawet na kontynencie nam daleko. W grach zespołowych tylko siatkarzy możemy z czystym sumieniem wysyłać na mistrzowskie imprezy z nadzieją, że przywiozą jakiś medal, najlepiej złoty.

Prawdę mówiąc, w bardzo wielu sportach nie mamy – przynajmniej teoretycznie – żadnych szans na zwycięstwa, a jednak posyłamy ekipy na mistrzowskie imprezy. Po pierwsze – zawsze może zdarzyć się miła niespodzianka, nawet w dyscyplinach wymiernych. Po drugie – musimy nasz kraj pokazywać światu. Po trzecie wreszcie – trenująca młodzież powinna widzieć w swoich wyczerpujących zajęciach jakiś cel, do którego dąży.

Sport wyczynowy to bardzo droga zabawa. Kraj ma mnóstwo wydatków, ze zbrojeniem na czele. Jakoś jednak nie przyszło nikomu do głowy, żeby tę dziedzinę, pochłaniającą znaczne fundusze, po prostu zlikwidować i pozostawić przy czystym amatorstwie, tak jak chciał tego twórca nowożytnych igrzysk olimpijskich baron Pierre de Coubertin.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 17.09.2025 r.

eprasa.pl 066e1a5323

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– O, lecą drony – zauważył na niebie wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz.

– Szef nie wymawia wu – wyjaśnił peeselowski minister energii Miłosz Motyka. – Ma na myśli wrony.

– Jak masz na imię? – błyskawicznie zapytał premier Donald Tusk.

– Dładek – odparł Władek.

– Kim jesteś?

– Ministrem odrony narodowej.

– Szef nie wymawia również be – dodał Motyka.

• • •

– W Europie występują następujące waluty – wyliczał minister finansów i gospodarki Andrzej Domański – kodrona czeska, kodrona islandzka, kodrona norweska oraz kodrona szwedzka.

– A kodrona słowacka? – spytał minister infrastruktury Dariusz Klimczak.

– W Słowacji mają już eudron – odpowiedział Domański.

• • •

– Musimy budować zdrony, żeby się w nich zdronić przed chronami – doradzał minister nadzorca rządu Maciej Berek.

– Łatwiej wyprodukować syreny – odparł minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński. – Syreny wytwarzają alarmy, a alarmy są tańsze i też dronią przed chronami, tylko trochę słabiej niż zdrony.

Berek nie mógł nie zgodzić się z tą żelazną logiką ekonomiczną.

• • •

– Wiesz, że kot ma drącie zakończone ostrymi naroślami z keratyny? – Wiceministra edukacji narodowej Katarzyna Lubnauer uśmiechnęła się obleśnie.

– Skąd tyle wiesz o kocich drąciach? – zapytała ministra edukacji Barbara Nowacka.

– Z podstawy programowej do wychowania zdrowotnego.

• • •

Rzecznik rządu Adam Szłapka zauważył, że jego koledzy ulegli dronomanii. Dosłownie w każdym przedmiocie i pojęciu dopatrywali się wrogich dronów, spodziewając się ich ataku. Gdy Szłapka podzielił się tym spostrzeżeniem z wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim, ten odrzekł: – Pleciesz androny, Adaś.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNĘ SENYSZYN martwią coraz krótsze i chłodniejsze dni. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** cieszy się z nadejścia jesieni.

Senyszyn: – Serio? A dlaczego?

Wołk-Łaniewska: – A bo ja jestem taka jesienna dziewczyna…

– Myślałby kto…

– To był cytat ze „Starszych Panów”.

– To wiem, ale jakoś mi się nie kojarzysz z chryzantemami.

– Oj, bo ty tak jednopłaszczyznowo na mnie patrzysz. A ja mam wrażliwą, nostalgiczną duszę. Tylko jej nie używam, bo na co dzień zawadza. Ale jesień mnie zawsze nastraja tak jakoś łagodnie i właśnie nostalgicznie…

– Czy możemy się umówić, że ci wierzę i przejść do tematów bieżących?

– Proszę. Skoro nie chcesz słuchać o mojej nostalgii…

– Nie, wolę ci opowiedzieć o arcybiskupie Galbasie.

– No dobra, przekonałaś mnie. Co zrobił metropolita warszawski?

– Coś, czego, jak sięgam pamięcią, nie zrobił żaden inny arcybiskup. Ani biskup, ani prezbiter, ani diakon, ani nawet zwykły ksiądz.

– No nie trzymaj mnie w niepewności: co?!?

– Poprosił, żeby mu nie przesyłać pieniędzy.

– Powtórzę: co?!?

– No dobra, żeby złagodzić twój szok wyjaśnię, że tak naprawdę Galbas poprosił, żeby nie przesyłać pieniędzy nie jemu. Bo okazuje się, że w socjalmediach jako on występują osoby, które nie są nim, i te osoby proszą o pieniądze, i biskup prosi, żeby im nie wysyłać…

– Tylko jemu?

– Tego nie mówi, ale można się domyślać.

– A ja ci opowiem jeszcze bardziej niezwykłą historię o człowieku, który naprawdę prosi, żeby mu nie przysyłać pieniędzy. I jest amerykańskim politykiem.

– No w to to już nie uwierzę.

– Zohran Mamdani.

– A to uwierzę. Czytałam o nim ostatnio w Interii, iż zasiał taki strach w kręgach finansowych Nowego Jorku, że najwięksi deweloperzy, prezesi funduszy inwestycyjnych i biznesmeni z branży nieruchomości zlecieli się z poniedziałku na wtorek, aby nie dopuścić do tego, żeby „światowa stolica finansowa została oddana w ręce socjalisty”.

– Taaaa… Też to czytałam. Pomijając już fakt, że autor konsekwentnie pisze „Zohrar” – mógł chłopina sprawdzić imię, ono jest teraz bardzo popularne w necie – to sformułowanie, iż Mamdani jest „lewicujący”, gotuje mi krew w żyłach. Zawsze mi się przypomina „Inge Bartsch” Gałczyńskiego: „Żyła z Finkiem. Fink był reżyser. Przez snobizm komunizował”… „Lewicujące” to były przedwojenne panienki z dobrego domu, które jeździły na Pragę, żeby zobaczyć prawdziwą klasę robotniczą. A Mamdani to uczciwy, szczery lewak, który chce wywrócić nowojorską oligarchię. I on właśnie apeluje do zwolenników, żeby już mu nie przysyłali kasy, bo zebrał osiem baniek, a więcej nie może wydać, więc zamiast kasy prosi o pracę w kampanii.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– To zupełnie jak ja. Też prosiłam przede wszystkim o wolontariacką pomoc w zbieraniu podpisów i potem w samej kampanii. Kibicuję Mamdaniemu tym bardziej, że Trump robi, co może, żeby go utrącić. Straszy, że największą metropolię Ameryki „może przejąć komunista i radykalny świr”… Zwłaszcza to ostatnie brzmi zabawnie w ustach faceta, który… zastanawiam się, jak to ująć, żeby nie narazić redakcji na proces za obrazę głowy obcego państwa, czyli z art. 136 par. 3, za co grozi kara do trzech lat pozbawienia wolności. Zwłaszcza że pamiętam prawomocne skazanie Urbana na 20 tys. zł grzywny za znieważenie JP2, jako głowy Państwa Watykańskiego, w artykule „Obwoźne sado-maso”. Na szczęście miliarderów, którzy zawiązują spisek przeciw Mamdaniemu, można obrażać do woli…

– I zaraz skorzystam z tej możliwości: to są chuje, jeden w drugiego. Nikt – jak słusznie zauważa Mamdani – nie powinien mieć miliarda dolarów. A tym bardziej 384, jak Elon Musk w tej chwili. Miliarderzy są wrzodem na dupie ludzkości i ich histeryczna potrzeba gromadzenia kasy psychiatrycznie niczym nie różni się od tego, co motywuje dziadków śmierdzioszków z syllogomanią. Różnica jest tylko taka, że miliarderyzm jest społecznie zbrodnią, podczas gdy kompulsywne zbieractwo to tylko w miarę niegroźne zaburzenie. Choć oczywiście, jak każdy dziadek śmierdzioszek, któremu ktoś próbuje posprzątać mieszkanie, także amerykańscy oligarchowie dostają histerii na myśl, że ktoś mógłby im uszczuplić kupę złota, na której leżą jak smok w jaskini, zionąc nieświeżymi wyziewami…

– Widzę, że naprawdę nie lubisz miliarderów.

– Do poziomu gilotyny. Toteż szczerze się cieszę, jak coś ich wytrąca z równowagi. Najbardziej mnie ubawił jeden deweloper kanadyjski, który zażądał prywatnego spotkania z kandydatem, mówiąc, że ma dla niego wiele dobrych rad. Na co biuro kampanii odpowiedziało, że kompletnie nie rozumie, dlaczego kandydat miałby się spotykać, skoro facet nawet nie mieszka w Nowym Jorku i dodało, iż fakt, że koleś posiada miliardy, nie czyni go w oczach kandydata nikim specjalnym. Genialne! Zmieniając temat: przeczytałam w „Faktach po mitach”, że ktoś na ciebie poszczuł OKO.press.

– Tak, zadzwoniła do mnie dziennikarka z OKA i bardzo agresywnie zaczęła przesłuchiwać mnie na okoliczność współpracy z Darkiem Cycholem.

– I co jej powiedziałaś?

– Że mam 76 lat i nikt mi nie będzie układał listy współpracowników ani znajomych.

– W tym ataku na Darka Cychola najbardziej ubawił mnie zarzut, iż „swój przekaz buduje inteligentnie”, albowiem „nie wyraża wprost poparcia dla władz Rosji, lecz rozważa za i przeciw”. Zbrodnia rozważania za i przeciw, kiedy premier mówi ci jasno, co masz myśleć, powinna być karana śmiercią, ale ta szmaciana Unia Europejska nam na to nie pozwoli, i to mimo iż Ursula kocha Donalda. Ale tak serio: przecież wszyscy wiemy, że to nie chodzi o Cychola i jego poglądy na stosunki polsko-rosyjskie, tylko o ciebie. Ktoś musi być bardzo zaniepokojony faktem, że zakładasz partię. Wiemy kto?

– Wszyscy! Mówię to nieskromnie, bo jak wiesz: skromność nie jest moją wadą. Spółka dziennikarska z Cycholem i jeszcze kilkoma udziałowcami funkcjonuje już szósty rok i nie przynosi zysków, ale zaczęła kłuć w oczy dopiero teraz, kiedy zakładam partię, żeby powstrzymać PiS przed powrotem do władzy w 2027 r., bo wtedy nie będzie już co zbierać. Wyobraź sobie, że w sobotę byłam w Szczecinie na spotkaniu z Radą Krajową Nowej Generacji, czyli młodzieżówki PO. Przyjęli mnie entuzjastycznie. Tym bardziej że władze krajowe partii generalnie ich olały.

– A propos PO: prof. Plecka – to taka nowa celebrytka politologiczna – wytłumaczyła w TOK FM, jakie są polityczne plany Sikorskiego. Powiedziała otóż, że Sikorski już zaczął kampanię przed wyborami prezydenckimi 2030 i szuka dotarcia do młodych, czyli – uwaga – „wykorzystuje ten instrument, który pokazała jak wykorzystać Joanna Senyszyn”.

– Mądra jest pani profesor Plecka.

– Ale skoro się tak zgadało o kampanii: obecnie toczy się kampania na zwycięzcę w plebiscycie Kampanii Przeciw Homofobii na „Korony równości”. I można wejść na stronę koronyrownosci.pl i zagłosować na Joannę Senyszyn. Do czego serdecznie zachęcamy. I z góry dziękujemy.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 066e1a5323